Nr. 5. Warszawa, dnia 20 Stycznia (1 Lutego) 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. **10** do **5**.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Prosimy pp. Autorów, których niezużytkowane rękopisy zachowujemy do zwrotu, ażeby je odebrali przed 1-ym marca, gdyż po tej dacie będą zniszczone.

POLITYKA.

BOEROWIE I ANGLICY.

Od XVII w. żywioł holenderski, uczepiwszy się raz skał Przylądka Dobrej-Nadziei, szerzył już dalej na północ, ku wnętrzu Afryki, swą cywilizacyjną, przeważnie handlową, energię. Anglicy dopadali wybrzeży, od wschodu i zachodu, usiłowali gdzieś wrosnąć; ale dopiero podczas wojen Rewolucyi Francuzkiej udało im się na wielką skalę, przemocą swego oręża osadnictwu holenderskiemu narzucić. Zdobycz tę jednak wkrótce wypuścić musieli, i dopiero po rozpaleniu się nowej wojny z Napoleonem skorzystali z osamotnienia upadającej już potęgi niderlandzkiej i pochwycili owoce pracy cudzej, zbierane przez półtora wieku, aby ich już nigdy nie zwrócić. Zabór r. 1806-go traktaty wiedeńskie 1815 uświęciły.

Chłopi holenderscy, *boerowie* (burowie), z panów, zależnych tylko od własnego narodowego rządu, stali się poddanymi Jerzego III, nominalnie jeszcze panującego. Anglicy zmienili im prawa, powypierali ich z urzędów. Chwalebne zniesienie niewolnictwa 1833 r. przeprowadzili w sposób gwałtownie burzący interesy ekonomiczne pracującego i zarabiającego społeczeństwa Holendrów. Po sarkaniu głośnem, po jawnym oporze, po rozruchach, tłumionych siłą w imię porządku—kilkanaście tysięcy Boerów wyruszyło na północ, poszukać sobie ziemi bez Anglików i wytworzyć napowrót własne gniazdo, rozrzucone przez leoparda angielskiego.

Instynkt wiódł ich za rzekę Oranje i nad morze. Część dążyła na wschód Natalu, inni kierowali się na północ. Nieznajomość kraju, wśród pustyń bezleśnych—myliła kroki. Błądzili, przystawali ruszali dalej—zapuszczali się przez Oranje nad Vaal—ścigani wszędzie od r. 1835—1848 przez Anglików z Przylądka, którzy, podburzając narodki kafryjskie — wszędzie rzucali im rozpalone głownie pod nogi. Rok 1848 stał się dla wychodźców przełomowym. Osiadłszy jeszcze dawniej w porzeczu Oranje, wzmocnili się teraz i zbili w zwartą gromadę, a na północy, za Vaalem, pod przewodem dzielnego Pretoriusa znaleźli wreszcie trwalsze siedziby — oczywiście, i tu i tam nie bez boju z kaframi. Pierwsze osady północne rozwinęły się 1848 r. w rzeczpospolitą Transwalską.

Anglia nie była państwem dość militarnem, aby systematycznie ścigać wolę swojej przeciwną, łamać opór i wypisywać na sztandarach swej polityki—wytępienie; przytem miała dużo kłopotów z samą kolonią Przylądka, domagającą się swobód politycznych, a pośrednio i z tuziemcami, których poskramianie dawało ciągłe zajęcie zarządowi kolonii. Dokonane fakty powstania dwu rzeczpospolitych boerskich, jednej, północnej, za Vaalem, drugiej, południowej, pomiędzy Oranje i Vaalem — cieszyły się już w r. 1850 milczącem uznaniem rządu angielskiego. Uroczystego uznania w traktacie w Bloomfotein rzeczpospolita Oranje dostąpiła już d. 23 lutego 1854 r.; Transwaal daremnie go wyglądał przez lat dwadzieścia kilka.

W r. 1877 rząd Przylądka, prowadzący w imieniu Anglii jej politykę, a czynami swymi uprzedzający jej wolę, chwycił się błahego pozoru niepewności granic i krzywdzenia sprzymierzonych królików kafryjskich i, skorzystawszy z istotnej klęski bojowej Transwaalczyków w walce z Kaframi Zulu—przyłączył cały obszar rzeczpospolitej, z górą już wówczas 5,000 mil kwadr. geogr., do posiadłości angielskich. Rzeczpospolita znikła — została tylko „Transvaal Province." Ale został też i dawny duch Boerów. Burzyli się ciągle, obstawali przy swojem, aż w grudniu 1880 r. zapowiedzieli Anglii urzędownie, że się za niepodległych uważają. Anglia posłała wojska. Wybuchła wojna o niepodległość.

Anglicy lekceważyli przeciwnika: żołnierz ich był nieliczny i zły. Przeciwko trzem tysiącom Boerzy wystawili sześć, i dzielnych, w twardej szkole Biblii, surowego życia domowego i walki z przestworem i z naturą wyćwiczonych. Żylasty, jędrny, przebiegły a śmiały Joubert wiódł ich na bój. Zwyciężyli. 26 marca 1881 r. generał angielski u stóp góry Madżuba, gdzie go Boerowie rozbili, podpisał preliminarya, w których rzeczpospolita odzyskiwała byt niezależny i tylko traktatów zawierać nie mogła. Długo toczyły się jeszcze spory zwłaszcza o granice, o prawa do pogranicza beczuańskiego, które Anglia do Transwaalii była przyłączyła — aż wreszcie d. 27 lutego 1884 r. stanął w Londynie traktat ostateczny. Transwaal był wreszcie wolnym.

Ale wolność ta nie była doskonałą. Rząd angielski skrępował Transwalczyków kontrolą rozciągniętą nad ich stosunkami dyplomatycznymi. Każdy układ, bądź z mocarstwem europejskiem, bądź z miejscowym jakim ludkiem zawarty, musi być przedstawionym Anglii, która ma pół roku czasu do namysłu, ale może go przez ten czas, jeśli się jej nie podoba, wręcz odrzucić. Dla jednej tylko pobratymczej rzeczypospolitej Oranje uczyniono wyjątek. Z tej strony żadne już nie krępują więzy. Mogliby nawet Boerowie północni zlać się z południowymi w jednę powszech-

chność polityczną — gdyby tego zapragnęli, a szkodu, że nie pragną!

Od czasu odzyskania niepodległości dawniejszy Transwaal, od r. 1884 urzędownie „Rzeczpospolita Południowo-Afrykańska," szybko wewnętrznie rozrastać się zaczęła. Znalezienie bogactw mineralnych, których ta ziemia, w okolicach zwłaszcza nieurodzajnych, pustyniowych, kryje w sobie bezmiary—podsyciło materyalną wytwórczość. Przybywało i Holendrów i obcych, z tych najwięcej Anglików. Ci byli nawet głównym żywiołem napływowym, a ich kolonizacyjna wyższość zagroziła i grozić nie przestaje politycznej udzielności Holendrów. Ta nadczułość angielska na złoto transwaalskie i ta nadmierność liczebna przybyszów wytworzyły warunki, sprzyjające zbójeckiej wyprawie Jamesona i wraz z nią w tej chwili zaogniają cały dzisiejszy zatarg.

Anglia domaga się dla przybyszów angielskich takich samych praw, jakie mają rdzenni Boerowie. Wobec konstytucyi dawniejszej, z d. 13 lutego 1858 r., znanej nam tylko z charakterystyki, powyższe żądanie angielskie byłoby zbytecznem. Dopiero konstytucya, zmieniona w r. 1890, d. 23 czerwca, wytworzyła jakby patrycyat holenderski, z osadników dawniejszych i z tych, którzy przebędą w kraju lat czternaście bez przerwy — i tym tylko nadała prawo zwierzchnie nad rzeczpospolitą. Pierwszy Volksraad, prawo to właśnie sprawujący, składać się musi z takich pierwszej klasy obywateli; do drugiego dopiero dopuszczani są ludzie z czteroletniem obywatelstwem. Owi najlepsi sami jedni tylko mają prawo wybierania prezydenta rzeczpospolitej, naczelnego wodza i innych urzędników zwierzchnich.

Takie jest ograniczenie—nader przezorne w społeczeństwie zasilanem ustawicznie przez napływ obcych żywiołów niezbędne. Nie tamuje ono niczyjej swobody, odmawia tylko pewnego uzdolnienia tym, których za niedojrzałych poczytywać każe. Każdy nowy osadnik angielski, na równi z osadnikiem innej narodowości, już po 2 leciech ma prawo wybierania do drugiego, a po 4-ch do pierwszego Volksraadu, a zresztą w życiu obywatelskiem i prawnocywilnem równy jest zupełnie najlepiej urodzonemu Boerowi. Gdyby chodziło tylko prawa *nitlander*'ów do życia, zarobku i samorządu, Anglia nie myślałaby niczego żądać dla dawnych swych synów; ale tu chodzi o wprowadzenie myśli i żądzy angielskiej do mózgu rzeczypospolitej. Czego nie mógł zrobić Jameson, tego chce powolniej a łagodniej dokazać rząd angielski. Wtłoczenie przybyszów anglo-saxońskich w pierwszy Volksraad pozwoliłoby prowadzić podbój Transwaalu od jego serca i głowy. Czas, cierpliwość i kolonizacya postawiłyby u celu. Ale Boerowie czuwają: raczej wojna, niż organizmu zatrucie.

STOSUNKI PARTYJNE CZECH.

III.

Jeżeli dzienniki praskie sprawiają wrażenie bardzo niemiłe, to cóż mówić o niezliczonych pismach i pisemkach prowincyonalnych? Nigdzie nie da się spotkać tylu publicystów, z największym spokojem przechodzących z jednego obozu do drugiego. Są i tacy, którzy potrafią pisywać jednocześnie do organów staroczeskich, klerykalnych i młodoczeskich. Szkody, jakie przynosi taka prasa społeczeństwu, są nieobliczone ponieważ w Czechach *każdy* czyta pisma, i w ten sposób trucizna demoralizacyi przenika do warstw najniższych. To też, jeśli organom realistów uda się chociaż by tylko do pewnego stopnia podnieść poziom moralny prasy czeskiej, to już samo to będzie wielką ich zasługą.

Działalność prof. Masaryka przygotowała grunt dla nowego ruchu wśród młodzieży czeskiej, pod nazwą postępowego, niewłaściwie utożsamianego niekiedy z głośną „Omladiną."

Ruch ten powstał wśród młodoczeskiej części młodzieży uniwersyteckiej, która pod wpływem wykładów prof. Masaryka, jako też dzięki bliższemu zapoznaniu się z literaturą zachodnio-europejską, zaczęła poważnie myśleć nad zagadnieniami politycznemi, społecznemi i kulturalnemi i kusić się o wyjaśnienie swej przyszłej roli w społeczeństwie własnem.

W r. 1889 ukazał się pierwszy numer organu tej młodzieży: *Czasopis czeskeho studentstwa*. Początkowo był nader bezbarwny, a żądania jego ograniczały się do reformy życia młodzieży. Redakcya pragnęła przyczyniać się do tej reformy, wskazując wady i błędy młodzieży, pomagając jej w pracy nad doskonaleniem się moralnem i rozwojem umysłowym. Ale już w roku następnym redakcya zaznacza, że pismo to ma zapoznawać swych czytelników nietylko z tem, co dotyczy bezpośrednio życia studenckiego, ale również i z pewnemi kwestyami społeczno-ekonomicznemi. W stowarzyszeniu studenckiem „Slavia," odgrywającem wybitną rolę w życiu młodzieży, wytwarza się grupa stronników i zwolenników „Czasopisu," która już wkrótce zaczyna działać pod nazwą partyi postępowej.

W r. 1891 przed wyborami do Rady państwa grupa ta zwołała wielki wiec młodzieży, na który i stronnictwo młodoczeskie uważało za odpowiednie wysłać dwu członków swego komitetu wykonawczego: Engla i Kuczerę. Młodzież przedstawiła swe żądania partyi młodoczeskiej i uchwaliła rezolucyę, żądającą, aby deputowani młodoczescy w Radzie państwa zajęli stanowisko opozycyjne, aby w sposób jak najenergiczniejszy żądali wznowienia czeskiego prawa państwowego, starali się zawiązać stosunki z posłami południowo-słowiańskimi i wejść w sojusz z morawską partyą ludową.

W maju r. 1891 w Pradze odbył się zjazd postępowej młodzieży słowiańskiej z Austryi, na którym Czesi, Polacy i Rusini wypracowali wspólny program polityczny „stronnictwa postępowego" *). Sekcya czeska wypowiedziała się za czeskiem prawem państwowem i unią osobistą z pozostałemi prowincyami Austryi.

*) Na zjeździe tym było 120 delegatów czeskich, 45 polskich, 26 serbskich, 22 chorwackich i 16 ruskich.

---

5)

Urywek z dziennika.

Niedługo jednak cieszyłem się mojem schronieniem. Oto już dwie damy, które od jakiegoś czasu przechadzały się opodal, zbliżają się do mnie. Jestem im znajomy, jeśli mię spostrzegą, będę zmuszony wyjść, przywitać, przemówić — i w rezultacie pożegnać swoją samotność. Cobym dał za to, żeby ściany wystąpiły i zakryły mię, żebym wrósł w tuję. Na szczęście nie spostrzegają mię, oddycham. Siadają tuż koło mojej framugi, na małej kanapce i jak dwie oddane sobie dusze, prowadzą odosobnione zwierzenia. Ale położenie moje nie staje się lepszem — jestem mimowolnym, niedyskretnym świadkiem tych zwierzeń:

— Cóż nam więcej pozostaje, jak nie pociecha z naszych dzieci — mówi dama X. — Prawda, mój Alfred wiele mnie kosztował trosk i niepokojów, ale obecnie jest moją chlubą. Mojem jest dziełem i sądzę, że mam prawo wysoko nosić głowę.

— Bezwątpienia, jesteś pani jedną z najszczęśliwszych matek — mówi dama Y. i wśród koronek ręce ich łączą się w lekkim uścisku. Lecz w tej chwili po przez ich głowy, po przez iglaste gałązki tui leci do mnie szept, jak zgrzyt ostry, ów nieszczęsny, ów przeklęty szept myśli, tak strasznie mi znany:

„Fałszywą monetą jest twoja pewność siebie — szepce myśl damy Y. — Czy przypuszczasz, że nie wiem, jakim niezdarnym, słomianym manekinem jest twoje arcydzieło? Jeśli kto głowę podniesie, to ja — skoro ty i twoja lalka w ręce moje się dostaniecie."

A tymczasem mama Alfreda z uśmiechem i rzewnem wejrzeniem pochyla się ku przyjaciółce.

— Wyznaj pani szczerze, która z dziewczynek jest najbliższą twemu sercu. Lucia? Prawda?

— Trudne pytanie dla matki — odpowiada Y.; — wszystkie są mi drogie, nie robię różnicy.

A myśl jej dodaje:

„Więc to na Lucię padł wybór. Niech będzie i Lucia, byle raz zacząć. Mam ich sześć!"

I wachlarzem daje wzywające znaki młodej pannie, siedzącej naprzeciw wśród kółka młodych osób.

— Prześlicznie dziś wygląda — uśmiecha się pochlebnie X., lornetując nadbiegającą panienkę. Lecz w tej chwili myśl jej szepce:

„Parafianka, trusia, ani ubrać się, ani ruszać nawet nie umie. Gdyby nie ten wujaszek senator! W każdym razie Alfred zagalopowywać się nie powinien. Należy zawsze drzwi za sobą zostawiać otwarte..."

Więc do tego już doszło, że dosyć urywku banalnej rozmowy, aby wzburzyć mię całego tak, iż czuję każdy nerw, drgający w mem ciele? I ja, dotąd zdrowy i silny, najnormalniej władający swymi nerwami, teraz jak schorzała kobieta bałem się, aby nieuledz jakiemuś wybuchowi nerwowemu. Porwałem się z miejsca i nie myśląc już, że tracę samotność, uciekłem. Dokąd jednak uciec mogę w tem morzu ludzkich głosów i myśli? Przeszedłszy bezwiednie salon, zatrzymałem się w przeciwległym jego końcu, gdzie przy fortepianie skupiona niewielka gromadka młodych osób naradzała się nad czemś. Stanąłem opodal, licząc na to, że nie będę w zapale narad dostrzeżonym.

— A zatem, w poniedziałek! — doleciał mię stanowczy głos młodej, rezolutnej blondynki, otoczonej towarzystwem.

— Dlaczego koniecznie w poniedziałek? — wtrącił cichy, dziwnie nierówno brzmiący głos od fortepianu.

Skierowałem tam wzrok mimowoli. Wpół odwrócona od fortepianu, z palcami nerwowo przebierającymi po klawiszach, siedziała młoda, bardzo ładna pani. Oczy jej gorzały wprost fosforycznie, twarz bladła i ramiona wstrząsały się zlekka pod przebiegającym dreszczem.

Wzrastała również publicystyczna i literacka czynność postępowców. W r. 1893 studenci mieli swój *Czasopis pokrokoveho* *) *studentstva*; wspólnym organem politycznym była *Neodvislost*; młodzież robotnicza i handlowa posiadała swe własne organy postępowe. Oprócz tego postępowcy wydawali dwa pisma miesięczne, poświęcone literaturze, sprawom społecznym i politycznym: *Nove Prondy* i *Rozhledy*, cały szereg dziełek literackich i naukowych, tudzież broszur politycznych.

Ruch pomiędzy młodzieżą zaniepokoił młodoczechów, którzy z początku chcieli go według swojego zwyczaju zabić milczeniem; kiedy zaś okazało się, że to jest niepraktycznem, wówczas wystąpili wrogo przeciwko młodzieży. Ale jeszcze bardziej, aniżeli młodoczesi, był zaniepokojony rząd w osobie namiestnika Czech, hr. Thuna. Wyczekiwał on tylko sposobności dogodniejszej, ażeby zadać postępowcom cios stanowczy. Wkrótce zdarzyła się taka sposobność.

W miarę wzrostu ruchu postępowego, do postępowców zaczęły przyłączać się różne żywioły, pomiędzy zaś nimi bardzo łatwo mogli się znaleźć i tacy, którzy nic wspólnego nie mieli ani z programem partyi, ani ze stojącą na czele ruchu zdolną młodzieżą. Te właśnie żywioły, podniecone skrajnie opozycyjnemi mowami niektórych posłów młodoczeskich, dopuściły się czysto sztubackich wybryków o charakterze antidynastycznym, jak zasmarowywanie orłów państwa na skrzynkach pocztowych, śpiewanie po pijanemu pieśni antirządowych itd. Zamiast traktować to jako najzwyczajniejsze zakłócenie porządku, władze praskie wydęły całą sprawę do rozmiarów olbrzymich, pasując uliczników na niebezpiecznych przestępców politycznych, zagrażających całości monarchii Habsburgów.

Pociągnęło to za sobą proces t. zw. „Omladiny,“ który się bardzo tragicznie zakończył. Kilkudziesięciu młodych ludzi skazano na dłuższe lub krótsze więzienie, a w liczbie tej znaleźli się także główni kierownicy ruchu postępowego: Hajn, Sokol, Raszyn i Szkaba. Oskarżono ich o zawiązanie tajnego stowarzyszenia z dążnością antidynastyczną, „Omladiny“ **).

*) Postępowego.

**) „Omladina“ znaczy młodzież. Wyraz ten wszedł w użycie jeszcze w siódmem dziesięcioleciu wieku bieżącego. Wychodziło też pod tą nazwą kilka pism czeskich.

Cały jej proces przedstawia bardzo dużo stron niejasnych; rzeczą jednak niewątpliwą jest, iż agent prowokator Mrva odgrywał w tej smutnej sprawie rolę nader czynną. Właściwie mówiąc, prokuratorya, pomimo chęci gorącej, nie potrafiła nawet udowodnić, że tajne stowarzyszenie istniało w rzeczywistości.

Proces t. zw. „Omladiny“ zadał cios bolesny młodemu ruchowi, pozbawiwszy głównych kierowników, ale całkiem zniszczyć go nie mógł. Postępowcy zdobyli uznanie i poparcie we wszystkich klasach narodu czeskiego. Stan wyjątkowy znacznie powstrzymywał rozwój ich działalności, ponieważ kilka ich organów zawieszono, główne centrum życia umysłowego młodzieży czeskiej, stowarzyszenie „Slavia,“ rozwiązano, a pisma polityczne, wydawane przez postępowców, utraciły debit w Pradze i jej okolicach. Obecnie, kiedy zrozporządzenia hr. Badeniego zniesiono stan wyjątkowy, a przywódcy ruchu postępowego otrzymali amnestyę, działalność partyi postępowej znowu zacznie się rozwijać normalnie.

Postępowcy mają już około dwudziestu organów prasy, a ich pisemka centowe, *Lid* i *Ruch*, szerzą się pomiędzy ludem w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy i zdobywają im coraz większą sympatyę mas.

Postępowcy posiadają całkiem określony, szeroki i jasny program, który jednak ma charakter eklektyczny, tak że odrazu poznać można, jakie wpływy oddziałały na takie a nie inne jego sformułowanie.

Program ten uważa za postępowca każdego, kto przeciwny jest uciskowi narodowości przez narodowość, płci przez płeć i klasy przez klasę. Wychodząc z tego założenia, postępowcy żądają gruntownego przekształcenia Austryi na zasadach następujących: 1) Zupełne równouprawnienie wszystkich narodowości. 2) Połączenie federacyjne wszystkich prowincyj Austryi, rozgraniczonych na podstawie warunków naturalnych (etnograficznych czy też historycznych), przyczem prawa wszelkich mniejszości narodowościowych powinny być najzupełniej zabezpieczone. 3) Zupełna wolność sumienia, słowa, prasy, zgromadzania się itd. 4) Powszechne równe i tajne prawo głosowania dla wszystkich obywateli państwa, bez różnicy płci. 5) Zastąpienie wojska przez milicyę krajową. 6) Sądownictwo bezpłatne. 7) Bezpłatne szkolnictwo od najniższego aż do najwyższego, dostępność wszystkich środków wykształcenia dla kobiet, przyczem system nauczania ma być zreformowany w duchu żądań nowoczesnych. 8) Oddzielenie kościoła od państwa.

Dotąd postępowcy nie zorganizowali się byli jeszcze w partyę samodzielną, przedstawiając najskrajniejsze skrzydło lewicy młodoczeskiej, ale obecnie nastąpi prawdopodobnie zwrot stanowczy pod tym względem, ponieważ czują się oni już o tyle na siłach, że mogą wystąpić jako stronnictwo całkiem niezależne.

Prawdopodobnie już niedaleka przyszłość pokaże, czy młodoczesi nie będą zmuszeni do zrzeczenia się hegemonii w polityce czeskiej na rzecz postępowców, którzy zaczynają coraz większym cieszyć się wpływem.

Jedynymi poważnymi współzawodnikami stronnictwa postępowego w przyszłości, tj. po reformie wyborczej, będą demokraci społeczni, którzy rozporządzają w Czechach bardzo znaczną liczbą zwolenników.

Czechy rozpadają się na dwie części: południową — rolniczą i północną— przemysłową. W pierwszej jest dosyć cukrowni, browarów i gorzelni; te jednak nie mogą dostarczyć pracy całemu proletaryatowi bezrolnemu, który wciąż wzrasta liczebnie. Z tego powodu masa czeskiej ludności robotniczej zalewa północną, niemiecką część Czech, gdzie znajduje zarobek w licznych fabrykach, hutach i kopalniach. Oprócz tego, znaczna część tych rzesz dąży do Czech południowo-zachodnich, gdzie kwitnie przemysł rękodzielniczy, i do Pragi, która jest wielkim ośrodkiem przemysłowym. Na północnym wschodzie Morawii i Szlązku leżą bogate pokłady węgla, które sprzyjają rozwojowi przemysłu na wielką skalę.

Otóż we wszystkich tych punktach przemysłowych, gdzie dotąd z urny wyborczej wychodzą młodoczesi lub liberalni niemieccy, zwyciężą po reformie wyborczej niewątpliwie kandydaci stronnictwa robotniczego, które już obecnie w Cze-

---

— Bo w ten dzień nigdzie nie mamy *jour-fixe*'ów — odparła blondynka.

Wsparty o fortepian młody człowiek, rzucił szybkie spojrzenie na siedzącą i wyrzekł powoli, chłodno:

— Czy mąż pani będzie w domu w poniedziałek?— i zwracając się do towarzystwa, dorzucił: Wszakże bez niego chyba nie urządzimy zabawy.

— Nie, nie będzie, z pewnością—odparła młoda pani i nizko pochyliła głowę, aby odczepić zadziergniętą w bransolecie koronkę rękawa. — Nocnym pociągiem wyjeżdża w niedzielę i dopiero we wtorek wróci — dodała spokojnie, podnosząc rękę do oczu.

Stojący przy fortepianie objął ją szybkiem wejrzeniem.

„Więc w poniedziałek?“ — gorączkowo stłumiony ozwał się głos jego myśli.

— O, naturalnie, bez pana Adama nic zrobimy kroku! — głośno zawołała blondynka.

„Więc w poniedziałek? O, nie odmawiaj!“ — błagająco i natarczywie brzmiał szept, który ja tylko słyszałem.

Pani niżej pochyliła głowę; lecz gdy między zebranymi wszczął się gwar żywszy, podniosła ją nagle na jedno mgnienie utkwiła palący wzrok w jego twarzy.

„Przyjdź!“ — krótko, stanowczo ozwała się jej myśl i głębokie odetchnienie rozchyliło jej usta.

Na jedną chwilę źrenice ich, myśli i żądze zlały się w jedno. Obojgiem owładnął jeden poryw burzy. Dążyli ku sobie pomimo niesławy, mimo przeszkód wiarołomstwa. Teraz nic już nic zdoła ich powstrzymać, przeszkody dodadzą tylko uroku zwycięstwom. Ożywione narady trwały dalej i nikt nie odgadł, co pod zwykłym, obojętnym pozorem kryje się w tych dwojgu. Nikt — ja tylko. Ja jeden—wśród tylu — skazany jestem podpatrywać wszystkie podstępne ich myśli, podsłuchiwać ukryte, stłumione ich żądze. Jak wieczny potępieniec, miejsca nigdzie znaleźć nie mogę — cichego, spokojnego zakątka, gdziebym nie widział nic z tego, co zwykle kryje się głęboko w tajnikach dusz ludzkich. Porzuciłem swoje miejsce i uciekając z tego gwarnego salonu, znalazłem się w jednym z przyległych gabinetów.

Zastałem tu świat inny. W głębi, dokoła stolika, oświetlonego jedną wielką lampą, zasiadło poważne grono. Obok strojnej, mile uśmiechniętej gospodyni domu, na poduszkach miękiej kanapki, rozpłynął się okazałej tuszy dygnitarz. Przed chwilą byłem mu przedstawiony ostentacyjnie, nie znałem go jednak i tylko ze spotykanych często ostatnimi czasy jego portretów wiedziałem, kto on jest. Przy czarnym, wykwintnym stroju dyskretnie migotała w pętliczce czerwona wstążeczka. Ale stokroć bardziej, niż ona, oblicze jego było obrazem zasług i wysokiego dostojeństwa. Pewność siebie, godność osobista, zlekka protekcyjny wyraz wyrozumiałości i nawet wyłysiało czoło, podniesione poważnie, zdawały się głosić światu o tem, co mógł i co raczył wyświadczyć dla społeczeństwa i nauki. Kilku ludzi poważnych otaczało go; krzesełka dam jakoś bojaźliwie cofały się po za czarne fraki. Za siedzącymi grupowały się w pewnem skromnem oddaleniu gromadki młodzieży akademickiej. Gdy obraz ten obrzucałem spojrzeniem, do uszu moich doleciały słowa, któremi poważny, siwiejący jegomość swoję mowę zakończył.

— Tem donioślejsze ów fakt ma znaczenie, że był zaszczycony obecnością powagi świata naukowego.

Tu skłonił się lekko w stronę dygnitarza.

— Należy na światło dzienne wydostać ten „incydent“; są rzeczy, które nie powinny być ukryte — podjął z wielką powagą współredaktor dziennika.

— Może będziemy tak szczęśliwi, że zechcesz pan osobiście w liczniejszem gronie, na odczycie naprzykład, wygłosić szczegóły tego wydarzenia; — dodała gospodyni z pochlebnym uśmiechem.

Dygnitarz przesłał jej również uśmiech pobłażliwy i gładząc poważnie brodę, rzucił słów parę o tem, co mógłby jeszcze wygłosić na publicznym odczycie, gdyby wogóle było to warte...

(D. n.)

W. Dal.

chach, Morawii i Szlązku rozporządza znacznemi siłami, posiada kilkaset stowarzyszeń zawodowych i kształcących tudzież około 25 pism.

Istnieje jeszcze jedno stronnictwo w Czechach, które odniosło nawet zwycięztwo nad kandydatami młodoczeskimi podczas ostatnich wyborów w dwu okręgach. Jest to konserwatyzm, partya bogatych chłopów-agraryuszów, którzy działają w sojuszu ze szlachtą w obronie interesów posiadaczy ziemskich. Stronnictwo to dopiero w ostatnich czasach ukazało się na widowni politycznej Czech; to też trudno coś o niem stanowczego powiedzieć.

Leon Wasilewski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Książę Ferdynand Koburski cały tydzień siedział w Paryżu, aż wreszcie wysiedział posłuchanie u papieża. Zaraz d. 27 z. m. przybył do Miasta Wiekuistego i wieczorem tego dnia *incognito* pojechał do Watykanu. Według rosyjskiej Agencyi telegraficznej, Leon XIII-ty „oświadczył, że nie może pozwolić na przejście ks. Borysa na prawosławie.“ Tymczasem przejście to jeszcze przed 12 lutego zapowiada urzędownie pierwszy minister ks. Ferdynanda, Stoiłow i nakazuje już przygotowywać ludność do uroczystości. Większość zgromadzenia narodowego w Sofii nie wątpi o urzędowym udziale Rosyi w obchodach i widzi w nim zgóry uznanie i Bułgaryi i jej księcia, i jej następstwa tronu i wszystkich zgoła porządków, od lat siedmiu wprowadzanych. Nadzieje co do osoby księcia Ferdynanda Koburskiego są złudzeniem.

W Erytrei musiał wreszcie osaczony w Makalle Galliano poddać się Abisyńczykom (d. 22 z. m.). Przyznano mu odejście z bronią, honorami, eskortą z Ras Makonnena, i nawet prawo zburzenia warowni, jeżeli *Tribuna* nie zmyśla, gdy zapewnia, że Włosi warownię zburzyli. Eskorta jest czemś nieznanem w obyczajach wojennych. Podobno trwać miała aż do połączenia się Galliana z oddziałem przez Baratierego wysłanym w Maimaghetta (?). Szczególniejsza opieka! Samo się nasuwa podejrzenie podstępu i w Rzymie też rozeszła się już pogłoska o napaści na eskortowanych. W zamian za względność abisyńską Włosi przyrzekli zawrzeć ostateczny traktat polityczny z Menelikiem, który, wie czy nie wie o układzie wojskowym, może go jeszcze nie uznać. Wiadomości o nowem starciu wojennem nie było — do czwartku.

We Francyi znaleziono nową kałużę: w Indochinach. W r. 1887 rząd wydzierżawił opium jakiejś kompanii, rozporządzającej kapitałem 1,200,000, a w r. 1893 skupił prawa jej za półpięta miliona: ma to być już szacherka. Ale nie; dość tego: u jednego z kompanii, Edvards'a, odkryto listy samego Faure'a — co za temat! Był on wtedy ministrem marynarki, listy są urzędowe; ale w każdym razie—przechodził koło kałuży: ustąpić powinien. D. 27 z. m. znowu rozprawiano w Izbie o Panamie — nieśmiertelnej i owej słynnej książeczce ze 104 nazwiskami. Hobard uważał ją za zmyślenie oportunistów, którzy chcą błotem obrzucić wszystkich, aby nikt błota na nich samych nie rozpoznał. P. Bourgeois dziwnie bronił policyi, iż spełnia swój obowiązek. Zapomniał o policyantach zbiegłych i osadzonych w więzieniu. Wydania Artona spodziewają się Francuzi w pierwszym tygodniu lutego.

Rząd angielski ogłosił aż dwie księgi błękitne o Armenii. W raportach jest tylko 900 zamordowanych Armeńczyków: a krzyku było na dziesięć razy tyle!— woła teraz powściągliwość angielska. Liczba powyższa jest niezupełna albo skłamana. W przeszłym tygodniu sir Filip Currie w Ildiz-Kiosku doznał takiego przyjęcia, że aż się przeziębił: sułtan całą godzinę trzymał go w zimnym przedpokoju, trzymał wraz z nim i list własnoręczny królowej, a potem nieprzyzwoicie słuchał ustnych wyjaśnień posła. Nie ma rady: tylko trzeba będzie sir Currie'go odwołać, i kwestya turecka w bieżącem swem stadyum z najostrzejszej swej strony ucichnie. Lord Chamberlain miał w Birmingham 26 z. m. mowę sążnistą, ogromną: Chmury się rozchodzą, ale zbroić się nie zawadzi. W sprawie armeńskiej grozi Europie niebezpieczeństwo. W Wenezueli nie chce Albion tego, co amerykańskie. W Transwalu między żywiołem angielskim a holenderskim przyjaźń nienaruszona. Żądania cudzoziemców (Anglików) uda się Boerom zaspokoić bez szkody własnej.

Cesarz Wilhelm po 18-ym miał 27-my: 37-ą rocznicę swych urodzin. Znowu rocznica, znowu uroczyste obchody. Kanclerz Hohenlohe został wielkim komandorem Hohenzollernów; niedawny, zaledwie chodzić umiejący w ministeryum spraw wewnętrznych Recke, otrzymał już i brylanty i koronę dębową do czerwonego czy też czarnego orła. Młody cesarz coraz bardziej odchyla się od Anglii, obmyśliwając nowe jakieś przymierze, z którego trudno sobie zdać sprawę. Związek potrójny upływa w r. 1897.

Na Kubie zastępca gen. kapitana bije powstańców. Płynący z Europy nowy gen.-kap. Weyler chce wytworzyć trzy wielkie armie, aby całą wyspę od brzegu do brzegu pługiem Marsa przeorać—i nareszcie zmiażdżyć powstańców.

BADANIA NAUKOWE.

POCZĄTKI ROZWODU.

Bentham zadał sobie pytanie, czy człowiek zdołałby poruszyć ziemię z jej posad—i odpowiedział na nie twierdząco, ale z pewnem zastrzeżeniem, mianowicie że człowiek musiałby wprzódy znaleźć inny glob, na którym obrałby sobie stanowisko. Dla nauki o prawie taką drugą kulą ziemską są: etnografia i historya kultury. Nawet dzieje prawa rzymskiego, zbadane stosunkowo najlepiej, przedstawiają wiele luk. Jest ich jeszcze więcej w dziejach prawa różnych ludów. Póki zaś nie mamy pod ręką nieprzerwanego pasma faktów, dopóty nie możemy odkryć przyczynowego związku pomiędzy pewnem zjawiskiem, dostrzeżonem przez historyka, a poprzedniem, brakującem ogniwem. Wypełniamy te przerwy domysłami, ale taki twór wyobraźni tylko wtedy zyskuje mocną podstawę i zamienia się na hypotezę naukową, gdy w życiu dziejowem innych narodów, stojących na tym samym szczeblu, odkryjemy zjawisko, którego istnienie podejrzywamy w przeszłości badanego narodu. Nastręcza się pytanie: czy posiadamy prawo zapełniać luki w historyi jednego ludu faktami z życia innych; czy wolno nam na zasadzie tego, że pewne zjawisko istnieje u wielu narodów, wnioskować, że musiało także istnieć u tych, które nie zachowały o nim najmniejszego wspomnienia. Na to możemy odpowiedzieć tylko twierdząco.“

Tak rozpoczyna M. J. Kuliszer swoją książkę, poświęconą rozwodowi i wogóle położeniu kobiety*). Wstęp ten daje nam pojęcie o duchu oraz naturze tego dzieła. Autorowi chodzi nie tylko o przedstawienie prawa rozwodowego, istniejącego obecnie w krajach, przodujących cywilizacyi, ale także o wyprowadzenie socyologicznego rodowodu zwyczajów, spotykanych w odpowiedniej praktyce sądowej. Rozprawa ta jest więc przyczynkiem do historyi kultury ludzkiej, chociaż w sferze bardzo zacieśnionej, ograniczonej tylko do jednego zagadnienia.

Zasadniczy wątek wywodów M. J. Kuliszera przedstawia się jak następuje:

Formy rozwodu przekształcają się nieustannie w ciągu dziejów w miarę tego, jak zmienia się postać pożycia małżeńskiego oraz stosunek mężczyzny do kobiety. Autor odróżnia w rozwoju związku małżeńskiego dwa okresy: endogamiczny i egzogamiczny, to jest zaślubianie wewnątrz plemienia i zewnątrz niego. Poglądy jego na ewolucyę rodziny zdradzają wpływ Mac Lennana, i teorya rozwoju instytucyi rozwodowej została oparta na takiej, dzisiaj mocno zachwianej podstawie. Otóż w okresie panowania endogamii rozwód nie istniał. Małżeństwo było tam umową dobrowolną i czasową, małżonkowie, po upływie pewnego terminu, na jaki zawarli związek, rozchodzili się—nie odnawiali kontraktu. Takie rozłączenie nie jest jeszcze rozwodem. Stosunek małżeński, istniejący w starożytnym Rzymie pod nazwą *usus*, przedstawia nam wyborny wzór czasowego obcowania małżeńskiego. Sądząc z przepisów, zamieszczonych w prawodawstwie Dwunastu tablic, trzeba przypuścić, że takie małżeństwo zawierano tylko na przeciąg jednego roku. Dopiero wtedy zamieniało się ono na związek stały, skoro żona nie skorzystała z przysługującego jej prawa nienocowania trzech następujących po sobie nocy w domu swojego małżonka. Rozłączenie, które następowało po upływie roku, było tylko rozejściem się, ułożonem z góry i oczekiwanem, a zatem odznaczało się inną naturą, niż rozwód obecny. Występuje on w dziejach wraz z egzogamią, tj. poślubianiem kobiety z obcego plemienia i utrwala się na małżeństwie, zawieranem do końca życia. Atoli nie dość brać żonę z obcej grupy społecznej. Zwyczaj umyczki np., lubo opiera się na egzogamii, uniemożliwia istnienie rozwodu. Branka, porwana przez mężczyznę, jest jego niewolnicą, za której krzywdy nikt się nie upomni: mąż może znęcać się nad nią, nawet zamordować. Może on także ją odsunąć od swego łoża i nawet wygnać z domu, lecz rozwód jest nieznany. Instytucya ta ukazuje się dopiero wtedy, gdy mężczyzna za żonę zaczyna uiszczać „kałym,“ tj. kupuje ją; rozwija się zaś, gdy powstanie zwyczaj dawania wiana pannie młodej. W tych warunkach mężowi przysługuje, u ludów pierwotnych, prawo oddalenia żony, która mu zbrzydła, ale zarazem istnieją pewne czynniki, nakładające hamulec na jego samowolę i zmuszające go odwoływać się do jawności publicznej i poddać się wyrokowi instytucyi społecznych. Nastręcza się bowiem kwestya zwrotu „kałymu,“ uiszczonego za żonę, względnie posagu, który panna młoda wniosła mężowi! Powstają zwyczaje, później zaś przepisy, regulujące zwrot takiego mienia: mężczyzna tylko w pewnych wypadkach może żądać, ażeby mu oddano zapłatę, którą uiścił rodzicom żony. Ów nacisk ze strony władz publicznych stawał się tem większy, rozwód zaś coraz bardziej utrudniony w miarę rozwoju kultury materyalnej. Ze wzrostem bowiem bogactw, „kałymy“ i wiana rosły i zaważały coraz bardziej na szali namiętności. Zwłaszcza zaś zwyczaj dawania córce wyprawy oddziałał mocno na instytucyę rozwodową.

W powyższym przebiegu mamy do czynienia z jednostronnem ukształtowaniem prawa rozwodowego. Mężczyzna użytkuje

*) *Razwod i położenie żenszczin*. Petersburg.

z tego zwyczaju dowolnie, kobieta zaś jest istotą bierną, która musi poddać się kaprysom swego pana. Co najwięcej, może się ona tylko bronić przeciw nadużywaniu przez męża tego przywileju i żądać, azeby nie wyrzucał jej ze swego domu bez dostatecznych powodów. Sama zaś nie posiada prawa do opuszczania męża i wystąpienia w akcyi rozwodowej jako powódka. Zakon Mojżeszowy oraz odpowiednia praktyka u żydów dzisiejszych znają tylko takie jednostronne stosowanie rozwodów. W jednej z ksiąg Mojżesza znajdujemy ustęp, głoszący, że mąż, który żyjąc z żoną, poweźmie odrazę ku niej lub spostrzeże pewne wady, może oddalić ją ze swego domu. Przywilej ten służy tylko jednej stronie, bo żona nie posiada żadnych praw. Ustawa rozwodowa żydów wymaga więc, ażeby mąż z własnej woli rozłączał się z żoną, bo jeżeli oświadczy, że został zmuszony do takiego czynu przez namowę lub pod wpływem przymusu, rozłączenie jest nieważne. Zwyczaj każe, ażeby doręczono żonie akt rozwodowy, przytem powinna ona wiedzieć, co bierze do rąk swoich. Dlatego przed wręczeniem zawiadomienia o odprawie (bo rozwód u żydów posiada właśnie taki charakter), mąż powinien wyraźnie i głośno powiedzieć byłej małżonce: to twój rozwód. Czyn jest nieważny, jeśli mąż zaniedbał zawiadomić żonę, co jej wręcza, lub użył wyrażenia dwuznacznego. Dokument uchodzi za doręczony nawet w tym wypadku, gdy żona odmówi przyjęcia, lecz mąż zdoła wygłosić odpowiednią formułkę prawną i wrzuci akt do jej pokoju lub położy go u jej nóg na ulicy. Wszystko to musi odbyć się w obecności świadków. Szczegóły te posiadają tu dla nas względnie małą wartość; najważniejszem jest to, że rozwód stanowi przywilej męża, samowolnie przezeń stosowany. To prawo nie przysługuje kobiecie. Dokładniej mówiąc, powinniśmy powiedzieć, że nie przysługiwało ono dawniej, bo z biegiem czasu życie wprowadziło pewne praktyki, umożliwiające żonie korzystanie z rozwodu. Może ona wystąpić jako powódka i domagać się rozłączenia, jeśli dowiedzie, że mąż ją zaniedbywał w ciągu pół roku, jest dotknięty niemocą lub chorobą, wzbudzającą wstręt powszechny itd. Atoli forma doręczenia rozwodu pozostaje dawną: sąd, uwzględniwszy życzenie żony, używa pewnych środków — przymusu moralnego — względem męża i zniewala go do dania odprawy żonie.

Rozwód, o ile istnieje w dzisiejszem chrześciaństwie, jest instytucyą, służącą na równi obu stronom. Jakim sposobem powstał taki zwyczaj, tak odmienny od prawa Mojżeszowego? Niema wątpliwości, że kościół nie stworzył tej obustronności, ale skorzystał z tego, że już istniała, i wybrawszy ją, otoczył swoją powagą. Autor podnosi to zagadnienie w swojej rozprawie, ale go nie rozwiązuje. Przynajmniej nie dał on wyraźnego rozwiązania. Zdaje się jednak, że myśl jego, wypowiedzianą dość bezładnie, można przedstawić w sposób następujący: W społeczeństwie pierwotnem istniało obok siebie w tym samym czasie parę rodzajów związku małżeńskiego: endogamiczny obok egzogamicznego. Mąż był panem tylko swojej prawowitej żony, która pochodziła z obcego plemienia: zapłacił za nią „kałym," więc rozkazywał jej lub odprawiał, gdy mu zbrzydła. Stosunek prawny był jednostronny: mąż posiadał wszelkie przywileje, żona — żadnego. Tymczasem kobieta z tego samego plemienia, oddając się mężczyznie, zatrzymała zupełną swobodę działania. Ich obcowanie małżeńskie mogło ustać każdej chwili, gdy któraś ze stron sprzykrzyła sobie wspólne pożycie. *Usus* rzymski jest związkiem małżeńskim, który powstał na takiej podstawie endogamicznej. Wzory te oddziaływały na żonę prawowitą, która widząc swobodę swej współzawodniczki, usiłowała wywalczyć sobie podobne prawa. Kościół poparł swoją powagą te dążenia. Rozwód z instytucyi, która służyła jedynie mężczyźnie, przekształcił się na urządzenie, do którego obie strony zaczęły posiadać jednakowe prawo.

Streściliśmy zasadniczy wątek wywodów M. J. Kuliszera. Powyżej nazwaliśmy pracę jego przyczynkiem do historyi kultury ludzkiej — dodajmy: przyczynkiem publicystycznym, tj. pisanym bez ścisłości naukowej. Autorowi chodzi o wykazanie rodowodu pewnej instytucyi prawnej, ale fakty, na których oparł swe wnioski, pochodzą z drugiej ręki. Nie źródłowe prace etnograficzne, ale książki Hellwalda, Westermarcka i in. dostarczają mu materyału na poparcie twierdzeń. Skutkiem takiej przewagi pierwiastku publicystycznego, książka odznacza się w niektórych ustępach bezładnością wykładu: wyobraźnię autora przykuwa do siebie niekiedy fakt uboczny, niczem nie związany z podstawową ideą jego wywodów, i rozpoczyna się wyjaśnianie szczegółów, luźne, dorywcze, poparte faktami, wziętymi w pośpiechu z pierwszego pod rękę źródła. Między innemi, w jednej z takich wycieczek M. J. Kuliszer poddaje rozbiorowi mit o Aresie, Hefestosie i Afrodycie. Hefestos, bóg, opiekujący się rzemiosłami, specyalnie zaś kowalstwem, zastawszy żonę swoją śpiącą w objęciach Aresa, przykrywa wiarołomną parę siecią z metalów, zwołuje bogów, ażeby wydali sąd nad przestępcami i nie oswobadza winowajcy, póki nie otrzymał rękojmi, że zwrócą mu „kałym," uiszczony za Afrodytę. J. A. Kuliszera pociągnęła ta opowieść. Przypomina on w odpowiednim ustępie u Hezyoda, że kuźnie w okresie bohaterskim Grecyi budowano po za granicami wioski i że były one czemś w rodzaju naszych karczem. Pisarz grecki ostrzega lekkomyślne osoby, ażeby nie uczęszczały do tych kryjówek rozpusty. Podobną rolę odgrywały kuźnie podczas wieków średnich. Podróżny mógł tam nietylko podkuć konia, ale także wypić kieliszek trunku. Mieszkanie kowala było przytułkiem rozpusty i służyło za miejsce schadzek miłosnych. Taki pierwotny charakter warsztatu kowalskiego uwydatnił się w micie greckim: wiarołomstwo odbywa się w mieszkaniu boga-kowala! Objaśnienie to jest prawdopodobne. Atoli M. J. Kuliszer posunął się jeszcze dalej, bo usiłuje dowieść, że rozpusta w kuźniach jest przeżytkiem po wcześniejszym jeszcze okresie, kiedy ślub legalny odbywał się w warsztacie kowala. Autor popiera swój wniosek, bardzo ryzykowny, o ile ma on posiadać zastosowanie powszechne, strofkami z weselnych pieśni rosyjskich. W jednej śpiewają:

„...Idzie kowal z kuźni,
Niesie z sobą trzy młoty.
Kowalu, kowalu, wykuj mi wianek!" itd!

Druga głosi, że „na wyspie Bujanie są trzy kuźnie, trzech kowali uderza po trzech kowadłach. Nie kujcie, kowale, białego żelaza, a przykujcie do mnie młodego parobczaka!" Przytoczone ustępy mają świadczyć, że ongi, w okresie, gdy wykradano żony z ościennych plemion, obrzęd ślubny polegał na tem, że parę młodą skuto istotnymi łańcuchami. Jeszcze dzisiaj w plemieniu timanów (Afryka) prowadzą młodą parę do kuźni, kowal wykuwa w jej obecności wiązadło żelazne i łączy małżonków. J. M. Kuliszer z tym zwyczajem zestawia fakt, że w pewnej miejscowości, leżącej na pograniczu Szkocyi, istniała kuźnia, w której do r. 1856 zawierano tajne związki małżeńskie. Dla udowodnienia takiej tezy trzeba dać coś więcej, niż parę faktów, z których pewne posiadają inne źródło pochodzenia: karczma szkocka służyła za świątynię tylko dlatego, że leżała na pograniczu.

A.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Walerya Marrene: *Przeciw prądowi*, powieść. Lwów, Jakubowski i Zadurowicz, 1895, tomów dwa, str. 397 i 337.

Is live worth living? trud żywota czy się opłaca? czy warto żyć?— Pytanie to, podniesione przed kilku laty przez jednego z wybitnych przeciwników wiedzy pozytywnej w Anglii, Wilhelma Hurrell-Mallock'a, przemknęło jak się zdaje, po głowie autorki w chwili, gdy siadała do pisania swej powieści; przynajmniej trudnoby w łańcuchu zdarzeń powszednich, z tegoczesnej naszej rzeczywistości wysnutych, wyszukać tkankę, dokładniej powyższe zagadnienie uwydatniającą.

Pokochało się dwoje ludzi w warunkach rokujących im przyszłość najpomyślniejszą. Panna Regina Jasiennicka, córka zamożnego ziemianina—wdowca, cieszącego się szacunkiem i sympatyą powszechną, oraz Wacław Julski, syn dostatnio po zgonie męża uposażonej emerytki z wyższych urzędniczych sfer lwowskich, należeli oboje do pokolenia szczęśliwych, sytych, spokojnych, którzy jeżeli walczą, to jedynie dla przyjemności i zabawki; życie uśmiechało się im wszystkimi powabami, otwierało się przed nimi jak szeroka, jasna i barwista wstęga. Wykształcenie Wacława i Reginy było najściślej „nasze,"—to jest towarzysko świetne, encyklopedycznie—rozległe, fachowo — żadne. Dobra, miła, szlachetna para—i nic więcej. W ciągu lat sześciu przed pełnoletnością, Reginka przeczytała prawdopodobnie z 80 grubych, starannie oprawnych tomów czasopism obrazkowych i ze 400 tomików poezyi, opowiadań, podróży, dramatów; znała się oprócz tego na kuchni, na rolnictwie, na hygienie, malarstwie—w teoryi, z podręczników; doświadczenie miała tylko na fortepianie. Co do Wacława, ojciec odumarł go wcześnie, matka zaś daleko większy kładła nacisk w edukacyi na szyk powierzchowny, niżli na wiedzę gruntowną. Podróżując dużo po świecie, Wacław zatrzymywał się w wielkich miastach, słuchał kursów w uniwersytecie, „ale czynił to kapryśnie, wedle fantazyi, nigdy nie troszcząc się o korzyści praktyczne, jakieby nauka przynieść mu mogła." Pod tym względem czyniono nieraz pani Julskiej uwagi i przedstawienia co do przyszłości syna, ale ona, ufna w swe stosunki i koligacye z dostojnikami administracyi krajowej i centralnej, patrzyła na piękną, inteligentną głowę jedynaka i uśmiechała się tylko; uroda, ogłada, obycie się społeczne, alboż to nie kapitał? Nie myliła się na razie: spotkał oto Wacia los najzupełniej zasłużony w ułożonem i nie odmiennem już—zdawało się—małżeństwie z bogatą dziedziczką fortuny Jasiennickich. O wyrachowaniu, o frymarku uczuć nie mogło tu być mowy: młodzi pokochaliby się prawdopodobnie nawet w razie, gdyby nie mieli żadnego majątku; że zaś mają, czeka ich w najbliższej przyszłości jedna z najpiękniejszych sielanek, o jakich nie śniło się poetom wieku XIX.

Jeżeli tak, zamknijmy książkę na punkcie problematów filozoficznych — kwestya bowiem, czem jest życie i jaka jego wartość, znika z widnokręgu. Nie jest życiem to, do czego przychodzimy jak

cielęta do ciepłych i słodkich wymion macierzyńskich. Nagła klęska staje się zatem nieodbitą, składową częścią założenia. Ucieczka się do tego *deus ex machina* autorka ma zresztą najzupełniejsze prawo. Wszędzie indziej katastrofa jest wyjątkiem—u nas (czyli ściślej mówiąc, w Galicyi), regułą. Nie subhastacya, to likwidacya, nie nowy namiestnik z Wiednia, to stara ustawa metternichowska, nie zmowa żydów, to polityka stańczyków, nie pomór, to podatki, nie pożary to powodzie, czyhają tu zewsząd i o każdej porze na szczęście i dobrobyt rodzin. Tym razem wychylają się one pod postacią zbankrutowanej spółki przemysłowej, w której ojciec Reginki figurował jako jeden z honorowych i nominalnych gerentów, rzeczowo odpowiadający całym swym majątkiem. Rękojemstwo to, fikcyjne. wspaniałomyślne, gruntownie nieudolne, a tak zasadniczo i typowo polskie, pozbawia starego Jasiennickiego życia. a córkę jego wypycha za wrota domu ojczystego. Teraz to już naprawdę zaczniemy domyślać się wraz z Reginką, czem życie pachnie... Nie zaraz jednakże: moc i skuteczność odpowiednich ku temu doświadczeń zależy jeszcze od matki Wacława, której się obecnie otworzyły oczy: spostrzegła w jednej chwili, że moralne i fizyczne „kapitały" jej syna najgorzej ulokować chciała. Jeżeli jej zabiegi wezmą przewagę, Wacio ożeni się z jaką garbatą lub zezowatą baronówną i z tej strony sir William Hurrel-Mallock, zamiast powyższej odpowiedzi. będzie miał najpospolitszą buduarową i salonową farsę, wtedy gdy ze strony Reginki, której nieuleczalne przywiązanie do Wacława od pierwszej chwili nie ulegało wątpliwości, próba skończy się w krótkich terminach. bez ognia i wody, na suchotach klasztornych lub na podwórku wielkopańskiej jakiej tragikomedyi. Dramatu nie będzie, sir Mallock znowu odejdzie z kwitkiem. Szczęściem dla niego, pani Julska, po wyczerpaniu wszystkich zasobów przenikliwości, przekonywa się, że syn jej istotnie jest waryatem: zakochał się był nie w majątku, lecz w osobie Reginy. Młodzi w pracy szukać postanawiają ostatniego słowa odroczonych swych przeznaczeń. Nie powinnoby to im przyjść z trudnością. W szczęściu i dostatkach tylu przecież mieli życzliwych znajomych, przyjaciół, wielbicieli...

Jak na początek, po długich namysłach i obliczeniach, przypominają sobie jedynie kuzynkę Teodozyę, starą, zwiędłą pannę, utrzymującą się z pensyi w małem miasteczku. Do nikogo innego w pierwszej trwodze rozbicia nie mogą się odwołać o pomoc, o radę... O radę? — pięknie się wybrali. — „O radę mię pytasz?— woła do Wacława nieubłagana purytanka.— To już źle, bardzo źle. Kardynalnem w takich razach przykazaniem: siebie się tylko radź!.. Ale ty, którego wychowano wyłącznie do używania..." — „Alboż sądzisz, że pracować nie potrafię?" — „Potrafisz?.. No, a jak?" — „Jak? Ależ, Tosiu kochana, sposobów zarobkowania są tysiące, wszak nie jestem niezdolniejszym od innych, którzy umieją podołać konieczności bytu..." Uśmiechnęła się z goryczą. „Co ty wiesz o tych koniecznościach! Wszystko ci wydaje się łatwem, jak dziecku, boś niczego nie dotknął, boś nigdy nie stanął w szeregach pracujących nie z fantazyi tylko, lecz z potrzeby powszedniego chleba — nie miałeś do czynienia z czeredą ludzką, cisnącą się gwałtem do zarobku, nie przebierającą w środkach — nie byłeś zmuszony odrzucać na bok osobistej troski, radości lub niepokoju, ażeby zaprządz myśl do obojętnego przedmiotu, nie czułeś nad sobą żadnego jarzma przymusu, nie czekałeś z bijącem sercem na zarobek, nie błąkałeś się godzinami daremnie pośród ludzkiego tłumu, potrącany przez tych, co się spieszyli do zajęcia lub rozrywki, kiedy ty z rozpaczą w duszy czułeś, że spieszyć się nie potrzebujesz; nie zazdrościłeś nigdy wyrobnikowi, co z tragami lub toporem, w pocie czoła zdobywa utrzymanie rodziny, kiedy ty z zasobami wiedzy i inteligencyi uczynić tego nie potrafisz; nie byłeś nigdy zniewolony poniżać dumy do prośby, nie zrażać się obojętnością, połykać upokorzenie, znosić odmowę — i prosić jeszcze... Aha, wzdrygasz się na tę myśl samą?.."

Chociażbyśmy wcale nie wiedzieli, z czyjem piórem i z jakiem uzdolnieniem mamy do czynienia, choćbyśmy ani jednej kartki nie czytali z „Januarego," z „Walki," z „Zasad i celów" itd., rozmowa powyższa naprowadziłaby nas na domysł, że owe „prądy,"—wśród których Wacław i Regina, po rozstaniu z Teodozyą, obracać się będą każde z osobna i każde na własną odpowiedzialność—nie mają w sobie nic dantejskiego. Wyroki niebios nie skazały tegoczesnych naszych wykolejeń na żadne karkołomne wzloty podniebne, na żadne zejścia i upadki podziemne. Zeus, w nieprzebranej swej dobroci i łaskawości, wymyślił dla nas osobny gatunek prometeizmu: poetyzowanie pajęczyn, zasnuwających kąty, pielęgnowanie ścieżek porastających perzem, wznoszenie fundamentów na błocie, kręcenie biczów z piasku. Więc niema już dziś chyba takiego krótkowidza, coby rzuciwszy okiem na obszary obecnej naszej działalności zbiorowej, nie odgadł, od czego bohaterowie Marrenowej tym razem zaczną, a na czem skończą; dla obliczenia tych możliwości wolno nam było przyjść na świat nawet z jedną ręką o czterech palcach: lekcye prywatne u starozakonnych — to raz, posada w banku Piędzickiego lub na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej — to dwa, teatr w Łodzi — to trzy, współpracownictwo w *Gazecie warszawskiej* — to cztery; o stanowisko piąte, mniej więcej zyskowne i niezależne, pytać już trzeba u stróża na Brudnie. Niestety, Wacław, zamiast na Nowy Świat, później na ulicę Królewską, zajeżdża najpierw gdzieś aż na Wierzbową czy na Senatorską, następnie trafia do kancelaryi jakiegoś Schmetterlinga; prawie także sama przygoda spotyka i Reginę w jej pielgrzymkach pedagogicznych i artystycznych. Oboje wprawdzie natychmiast wskutek tego dowiadują, się jaka to dziś buchhalterya zapewnia powodzenie i jaki sceniczny talent popłaca u generalnych wydawców i recenzentów „Kliki" i „Pogoni za kopiejką." Ale na pytanie: *is live worth living?* — odpowiedzieć sobie mogą dopiero po latach sześciu najdotkliwszych udręczeń i męczarni:

— Cisza między nimi była długa, tak długa, iż zdawało się, że już nie znajdą słów na oddanie sprzecznych swych uczuć. Ona przerwała ją pierwsza, szeptem prawie:

— Nie mówisz nic do mnie, Wacławie?

— I cóż ci powiem? Życie okazało się dla mnie twardem, niemiłosiernem...

— Alboż dla mnie było innem?

— Tyle lat upłynęło, a nie wywalczyłem sobie nic; zapracować potrafię zaledwie na nędzną strawę dzienną...

— A ja?., Złote mary, któremi mię łudzono, pierzchły. Być może, że mam talent, ale cóż z tego, skoro nie posiadam najważniejszego — intrygi i reklamy, skoro nie używam tych wszystkich przebiegów i wybiegów, którymi inni posługują się lepiej, niż talentem...

— Przynajmniej jesteś na drodze do sławy...

Na wargach jej zarysował się uśmiech szyderstwa. smutku i dumy, w oczach mignęła błyskawica.

— Och, sława! Widziałam, za pomocą jakich środków ją się zdobywa..

— I ja ci to samo muszę powiedzieć. Pukałem do drzwi fortuny niezmordowanie i przekonałem się, że to jest nikczemna zalotnica, że ludzie nie spotkają jej nigdy w blasku dnia, na prostej drodze, bo się trzyma zaułków, śmietnisk i cienia...

Wyciągnęła ku niemu ręce:

— Stoimy więc na równi...

Oprócz takich scen rzewnych, wzruszających, powieść posiada kilka dobrze sportretowanych postaci ze świata dziennikarskiego i finansowego, pewną zaś rozwlekłość dyalogów sowicie wetuje dokładnem i nader ponętnem przedstawieniem sytuacyi, oraz efektownem, szeroko ustopniowanem mieniemiem barw w opisie, to chwilowo jaśniejszych, to znów zaraz zasępiających się bez końca.

J. T. Hodi.

ODCZYTY.

Władysław Umiński: *Wpływ zwierząt na rozwój cywilizacyjny człowieka.*

Prelegent rozwinął swój odczyt na tle socyologiczno-przyrodniczem. Zajrzał do społeczeństw pierwotnych, przedstawił ich styczność z fauną, jej oddziaływanie na życie duchowe, moralne i materyalne. Wpływ ten musiał być najsilniejszym w epoce, kiedy człowiek pojawił się zaledwie na powierzchni ziemi. Bez broni naturalnej ostrych zębów, mocnych pazurów i siły, zajął zrazu stanowisko bardzo upośledzone, żywił się roślinami jak dotychczas małpy. Ciągłe niebezpieczeństwo, walka na śmierć i życie, stworzyły z czasem odporność i doprowadziły ją do tego stopnia, że owa „rozumna" dwunożna istota stała się panem wszelkich stworzeń. Według podziału szablonowego, istnieją trzy fazy kulturalne: stan myśliwski, pasterski i rolniczy. Podział ten wszakże ze stanowiska nauki nie zupełnie jest zgodny z faktami; dany bowiem naród niekoniecznie musiał przechodzić przez te wszystkie stopnie rozwoju zanim dotarł do wyżyn cywilizacyi. Np. Peruwianie i Meksykanie nigdy nie prowadzili życia pasterskiego, lecz z myśliwych stali się bezpośrednio osiadłymi rolnikami.

Zależność ludów myśliwskich od zwierząt stwierdzają przykłady; dotychczas bowiem w wielu okolicach ziemi istnieją dzikie plemiona, pozostające jeszcze w tej fazie rozwoju kulturalnego. Są to mianowicie Indyanie północno-amerykańscy i mieszkańcy dziewiczych puszcz brazylijskich (*Indios da matto*), Eskimowie, Australczycy itd. Sposób życia, wynikający z rodzaju zajęcia, zakreśla z góry stopień rozwoju kulturalnego myśliwych. Istnieją tu i hamulce: ludy łowieckie nie mogą się rozmnażać licznie, tak samo jak tygrysy, lamparty lwy, wilki. Człowiek, chcąc żyć z polowania, musi zajmować rozległe obszary, a pomimo to cierpi często głód, je, kiedy ma strawę, o każdej porze. Bezpośredniem następstwem takiego stanu rzeczy są wojny z plemionami sąsiedniemi. W Australii dzicy mają ściśle odgraniczone terytorya myśliwskie, z których każde należy do jakiegoś szczepu. Kto przekroczy granicę, jest uważany za wroga, może być zamordowany i pożarty. Dla tego też Australczycy bardzo rzadko opuszczają miejsca szczepu rodzinnego. Indyanie północno i południowo-amerykańscy, Eskimowie i wogóle ludy myśliwskie, najczęściej prowadzą wojny o terytorya łowieckie. Brak stałych środków pożywienia zmusza je do sztucznego zmniejszania wzrostu ludności, między innemi za pomocą dzieciobójstwa. Podług Lumholtza, kobiety w Australii bardzo kochają swe dzieci, co jednak nie przeszkadza zabijać i zjadać noworodka, szczególnie podczas głodu. To samo powiada da Azara o Guanasach mat-

ki zagrzebują żywcem większą część niemowląt—córek. Czynili to i czynią także inni na wielu wyspach oceanu Spokojnego. Ludożerstwo—objaw niedostatku żywności, panuje zazwyczaj tam, gdzie jest brak grubej zwierzyny.

Myśliwy nie może gromadzić zapasów, które dla pasterza i rolnika stanowią kapitał, pozwalający następnie podnieść produkcyjność pracy i dobrobyt. Człowiek zatem, trudniący się łowiectwem, uzależniony zupełnie od świata zwierzęcego, nie może nigdy wytworzyć gęstego zaludnienia, tj. tego warunku, który prowadzi do wyższego ustroju społecznego i wyższej kultury. Musi być niszczycielem, barbarzyńcą, ludożercą, dzieciobójcą i zarazem cierpieć ubóstwo. Na takim gruncie zrodzony jego charakter, posiada następujące znamienne rysy: żałroczność, lenistwo, dziecięca lekkomyślność, próżność, wstręt do życia towarzyskiego, brak wyższych pojęć abstrakcyjnych. Jednocześnie to samo otoczenie budzi niekiedy jego inteligencyę i pomysłowość, wynikającą ze spostrzeżeń. Jadowity wąż posłużył do wynalezienia strzał zatrutych, bóbr nauczył sztuki budowniczej, ptak, wijący misterne gniazdo—tkactwa i robienia koszyków; kret wskazał, czem i jak należy kopać ziemię, żaba jak pływać. Niektóre zwierzęta instynktowo leczą się pewnemi roślinami. Baczny myśliwy, kierując się tem, znajduje dla siebie zioła lecznicze. To są pierwsze przebłyski medycyny racyonalnej i botaniki stosowanej. Niedźwiedź np. wskazuje Kamczadałom pożywne korzonki, ptactwo—ziarno i owoce leśne, zdatne na pokarm dla ludzi. Większość narzędzi i sprzętów domowych ludów dzikich pochodzi z królestwa zwierzęcego albo też jest zrobiona według wzorów, napotykanych w naturze. Muszla była pierwszem naczyniem. ość pierwszą igłą, ząb zwierza drapieżnego pierwszym nożem, szczęka ryby pierwszą piłą. Tą drogą człowiek idąc coraz dalej, dochodzi do ważnych wynalazków. Śród puszczy na czatach dziki myśliwiec zdobywa stopniowo wiele przymiotów fizycznych. Oprócz zręczności i siły mięśniowej, wykształca się słuch i wzrok. Australczyk np. dostrzega łatwo na pniu drzewnym pszczołę miejscową, mniejszą od naszej muchy, z odległości kilkunastu metrów. Karenowie widzą tak dobrze gołem okiem, jak my przez perspektywę. Indyanie północno-amerykańscy posiadają tak subtelny węch, że mogą rozpoznać miejsce gdzie przed kilku godzinami znajdowała się zwierzyna i bez śladów widocznych określić jej gatunek. Australczycy i Waddahowie odkrywają ule dzikich pszczół za pomocą słuchu. Apacz, przyłożywszy ucho do ziemi, rozpoznaje ze znacznej odległości ludzi pieszych, konnych, określa ich liczbę, a nawet szybkość ruchu i kierunek.

Powoli człowiek przechodzi na wyższy szczebel kultury: zaczyna oswajać zwierzęta, czyni z nich pomocników i towarzyszów. Pierwszem takiem stworzeniem niewątpliwie był pies. Myśliwy pierwotny spotykał go podczas swych wypraw, zapoznawał się z jego zaletami, również myśliwskiemi, i zawiązał z nim przyjaźń trwałą. Fakt ten posiada wielką doniosłość w dziejach kultury, gdyż od niego rozpoczęło się oswajanie innych zwierząt tudzież zmiana życia myśliwskiego na pasterskie. Przejście to jednak odbywało się bardzo powoli. Przez długi czas człowiek, posiadając zwierzęta domowe, nie przestawał być myśliwym. Mieszkańcy palafitów, czyli wiosek nadwodnych, przed kilkunastu tysiącami lat zdołali oswoić owcę i krowę, wyrabiali nawet ser i masło z ich mleka, a jednak nie zmienili trybu życia. Wiele narodów nie mogło przejść od myśliwstwa do pasterstwa dlatego, że w zamieszkałych przez nie miejscowościach nie było zwierząt, przydatnych do hodowli. W Australii oprócz torbaczy (głównym ich przedstawicielem jest kangur), niema żadnych ssaków, zwłaszcza wyższych gatunków. I oto fakt znamienny: człowiek w swej kulturze zależnym jest w zupełności od świata zwierzęcego. Dlatego tylko, iż piątą część świata natura pozbawiła większych zwierząt, jej mieszkańcy muszą być dotąd najbardziej upośledzonymi pod względem umysłowym, moralnym i fizycznym. W takich samych warunkach znaleźli się Mela, Mikro-i Polinezyjczycy; stoją oni trochę wyżej od swych sąsiadów ze stałego lądu tylko dlatego, że bogactwo roślin pożytecznych wynagradza im poniekąd ubóstwo fauny. Ameryka południowa w chwili odkrycia jej przez Hiszpanów posiadała z większych zwierząt tylko lamę, zdatną do hodowli. Dzięki temu cywilizacya tamtejsza rozwinęła się samodzielnie, odmiennie. Peruwianie i ich sąsiedzi nigdy nie byli pasterzami w ścisłem znaczeniu. Przeszli wprost z myśliwstwa do rolnictwa osiadłego; kraina ich bowiem obfitowała w pożyteczne i pożywne rośliny.

P. Umiński barwnie rysuje dalszy obraz przyswajania zwierząt, charakteryzuje ich usługi oddane ludzkości, zmianę warunków społecznych, tudzież owego pierwszego kapitalistę na ziemi — pasterza, wreszcie—handel wymienny, w którym przez długi czas zwierzęta były ważnym czynnikiem. Nie dość tego: stwarzając podstawę bytu dla mężczyzny, pracującego od wieków po za domem, odebrały kobiecie niezależność ekonomiczną, a więc i moralną.

Obcowanie ze zwierzętami, piecza o ich dobro, otrzymywane od nich usługi, wpłynęły na złagodzenie charakteru człowieka. Koczownik pasterz, podobnie jak dziki myśliwiec, ma także określone granice rozwoju kultury. Cywilizacya wyższa wymaga przedewszystkiem życia osiadłego, nagromadzenia wielkich zasobów w jednem miejscu, produkcyi regularnej, stałej, jak najmniej zależnej od kaprysów przyrody i gwarantowanej bezpieczeństwem osobistem pracujących. To właśnie daje trzecia faza rozwoju społecznego.

Człowiek ucywilizowany zawdzięcza i dziś jeszcze bardzo wiele swym towarzyszom zwierzętom. Odgrywały one ważną rolę w rozwoju sztuki, nauki, przemysłu, a nawet pozostawiły swe ślady w religii i filozofii. Z dziedziny naukowej fizyologia i medycyna może najwięcej zawdzięczają swój rozwój światu zwierzęcemu. Przypomnijmy tylko wiwiseckcye i najświeższy okres szczepień.

Odczyt p. Umińskiego, pierwszy z tegorocznych popularnych, urządzonych przez komitet damski Towarzystwa opieki nad zwierzętami, połączył w sobie dwie zalety: poważną treść i przystępny wykład; przytem mówca dowiódł, że umie być dobrym syntetykiem.

POEZYE.

HYPATYA

Leconte de Lisle'a.

Gdy jakaś wielkość ziemska do schyłku się kłoni,
Gdy religie, ciężarem wieków przytłoczone,
Schodząc do zapomnienia samotnych ustroni,
Widzą ołtarze swoje przez gromy skruszone;
Kiedy z dębu Hellady wiatrem gnany listek
Drogę ku opuszczonym przybytkom zakrywa,
Gdy w mrok ciemny, za morza, umysł ludzki
[wszystek
Ku młodemu się słońcu całą siłą zrywa;
Zawsze—zwalczonych bogów poślubiając dolę—
Jakieś je wielkie serce od losów niełaski
Broni; świt nowy rani to serce i kole,
Ono ściga po Niebie gwiazdy Ojców, blaski.
Niech dla lepszych przeznaczeń zrodzi się wiek
[nowy,
Niech przyszłość wiek przeżyty bez żalu opuści:
Ono, wierne snom błogim swej wiosny różowej,
Słyszy, jak prochy zmarłych drżą w grobów cze-
[luści.
Mędrcy, bohaterowie wstają życiem wrzący!
Szemrzą chóry poetów o wzniosłych imionach;
I idealny Olimp na głos błagający
Zasiada swoje trony w białych Parthenonach.
O dziewo, coś pobożnie kryła sukni tkanką
Grób wielki, gdzie twe bogi usypiały w cieniu,
Ich gasnącego kultu szlachetna kapłanko,
Przeczysty a ostatni ich Niebios promieniu!
Kocham cię! Cześć ci, duszo dziewicza wspaniała!
Gdy świat Ojców się zachwiał pod burz huraganem
Tyś poszła za tym wzniosłym Edypem wygnanym
I twa niezmienna miłość wciąż go osłaniała.
Pod świętymi portyki, blada, tyś u progów
Stała, gdy je niewdzięczne tłumy opuszczały,
Wróżbiarko do proroczych przykuta trójnogów,
Zdradzonych Nieśmiertelnych tchy w łonie ci
[drżały.
Widziałaś jak płynęli w chmurze spłomienionej!
Miłością swą i wiedzą jeszcze cię poili;
I słuchał świat, pięknością twych snów zachwycony
Jak z ust twych złotych pszczółka pól atyckich
[kwili.
Jako lotos pod okiem mędrców wybujały,
Ich wymowy, prawości kwiecie wypieszczone,
Na tle mniej mrocznej nocy dawnych wieków
[chwały
Lśnił twój gieniusz przez kształtów cudownych
[osłonę!
Poważne nauczanie wieczystych cnót znamion
Płynęło z ust twych w sercu tłumów zczaro-
[wanych;
Nieraz marząc, iż skrzydła wytrysną ci z ramion,
Tracono z ócz Golgotę dla twych bóstw kochanych;
Lecz węzeł, co cię łączył z tłumy, zbyt był
[kruchy;
Widziałaś jak odbiegły k'obiecanej ziemi
Parte prądami wieku nieposłuszne duchy;
Ty, coś wszystko wiedziała, nie poszłaś za niemi!
I cóżby ci, dziewico, po podobnym szale?
Szukane ideały czy-ć w duszy nie lśniły?
W zmęczonych sercach wzrok twój czytał do-
[skonale.
A twe łaskawe bogi nic ci nie ukryły.
O, lilio biała między ziemskiemi siostrzyce,
O czoło nieskażone pomiędzy świętemi!
Kiedyż dusza śpiewała usty piękniejszemi
Lub jaśniej przez natchnione błyszczała źrenice?
Przeszłaś nie zabrudziwszy kraju białej szaty,
Wiek nie śmiał rąk twych czystych kalać w swoim
[prochu,
Zapatrzona w gwiaździste życie gdzieś za światy,
Nie świadoma nędz ludzkich i zbrodni motłochu...
Padłaś lecz wyższa jeszcze! Któż ci może spro-
[stać?
Niestety! Duch Platona, Afrodyty postać
Na wieki w piękne Nieba Hellady uciekły!
Śpij, o biała ofiaro, w duszy na dnie,
W twym dziewiczym całunie, lotosy zwieńczona;
Śpij! Potworna brzydota dzisiaj światem władnie,
Ach, i droga do Paros dla nas zatracona.
Bogi twe leżą w prochu, ziemia oniemiała;
Twych opuszczonych Niebios umilkł strop wy-
[klęty.
Śpij! Lecz w sercu poety ożyj, byś śpiewała
Hymn wieczystej melodyi, hymn piękności
[świętej.
Piękno tylko przeżywa, wieczną jego władza.
Głoby rozproszyć mogą śmierci tchy złowieszcze,
Lecz Piękno pała, w niem się znów wszystko odra-
[dza
I pod białą mu stopą światy krążą jeszcze!

Przełożył *Adam M—ski.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Filantropia tańcująca.—Szkolnictwo ludowe. — Budżet miejski na r. 1896.

Wciehej mieścinie zaroiło się: fanfarą bożka karnawału zbudzone. powstały rozmaite komitety i powstają codzień, każdy z nich krząta się żywo, a tajemniczo, osłaniając swoje kroki zazdrośnie, aby jak największą ilością „czarujących niespodzianek" jak najwięcej ściągnąć ciekawych i żądnych zabawy i jak największym poszczycić się dochodem. Taniec i zabawa, to u nas zawsze jedyny bodziec do zainteresowania się ogólniejszemi sprawami, puszczając mimo uszu wszelkie inne nawoływania, na dźwięk muzyki tanecznej zrywamy się i... jesteśmy. Tańczymy na wszystkich i na wszystko: był bal na dochód Towarzystwa im. Kraszewskiego, będzie bal na szkołę w Białej, na Towarzystwo św. Wincentego à Paulo, na dom „Pracy," na przytulisko dla starców i kalek —i całe mnóstwo innych z rozmaitemi etykietami. Gdybyśmy i na szkolnictwo ludowe galicyjskie potańcować mogli! Niestety, tu nie pomoże ani komitet, złożony z dobroczynnych a zacnych matron, ani współudział hożych dziewic i młodzieńców; do oczyszczenia tych zabagnionych stosunków trzeba czegoś więcej. Sprawozdanie Rady szkolnej, przedstawione Sejmowi, dowodzi, że stan oświaty ludowej w Galicyi nie tylko nie podnosi się ale z każdym rokiem jest coraz gorszy. R. 1890 było w całym kraju dzieci obojga płci w wieku szkolnym 1,351,000, z tych nie pobierało nauki dla braku szkół lub nauczycieli 685,534, w roku 1894 liczba ta wzrosła do 1,410,000, z tego pobierało naukę 666,116, więc 744,000 nie mogło uczęszczać na naukę. Ilość szkół zorganizowanych źle, nieczynnych z braku nauczycieli, wzrasta z każdym rokiem. Klas etatowych i nadetowych było w ostatnich trzech latach: 6,419, 6,676 i 6,896; nauczycieli i nauczycielek kwalifikowanych 5,012, 5,141 i 5,263, niekwalifikowanych, bez egzaminu dojrzałości 863, 941 i 1,024; szkół istniejących lecz nieczynnych było w tym czasie 321, 412, a w ostatnim roku 453; egzaminowanych nauczycieli brakło w pierwszym roku tego trzechlecia 1,405, w drugim 1,535 a w trzecim 1,633. Rada szkolna żywi nadzieję, że wkrótce braki te uzupełnić się dadzą. W 9 seminaryach nauczycielskich męzkich było w roku szkolnym 1894/5 uczniów 1894, w r. 1895/6 zapisało się 2,048; w 3 seminaryach żeńskich było w r. 1894/5 uczenic 640, na b. r. szkolny zapisało się 671. W r. 1894/5 złożyło egzamin dojrzałości 142 uczniów zwyczajnych i 72 eksternistów, 138 uczenic zwyczajnych i 62 eksternistki. Nadzieje wszakże są złudne; tak prędko braki usunąć się nie dadzą i nie w ten sposób, w jaki Rada szkolna się spodziewa. Należałoby, chcąc jako tako uregulować te sprawy, otworzyć co najmniej 7,440 klas nowych i mieć tyleż nauczycielskich sił świeżych; tego seminarya nie dostarczają i nie dostarczą przy dzisiejszym stanie rzeczy. Dziś szeregi nauczycielskie coraz bardziej się przerzedzają; wobec ciężkich warunków i nędznej płacy wielu porzuca swój zawód i bierze się do innych zajęć. Ci, którzy tak wiele mówią o oświacie ludowej, którzy przy każdej sposobności głośno zapewniają, że dobro szkolnictwa leży im na sercu, dla zaradzenia złemu środka nie znajdą i znaleźć nie chcą.

O usunięciu różnych nieporządków ojcowie miasta również nie myślą. Kilka ulic znajduje się w takim stanie, że ich w czasie słoty lub zamieci śnieżnych przebyć niepodobna. Kraków nie posiada żadnego planu regulacyjnego, z tej też przyczyny zdarzyło się, że przy budowie kanału na ulicy Kopernika wyłamywano dawniej zbudowany. Posady dyrektora Kasy oszczędności i dyrektora budownictwa nie zajęte do tej chwili. Projekt budżetu na rok 1896 przedstawia się jak następuje: Tytuł I, zarząd główny, obejmujący wydatki w kwocie 200,937 złr., dochody 16,780 złr., niedobór wynosi 184,157 złr. Tytuł II, zarząd majątku miejskiego: wydatki 49,113 złr.. dochody 219,296 zr. nadwyżka pokrycia 170,133 złr. Ponieważ dochody z majątku gminnnego są za nizkie i co rok się zniżają, sekcya skarbowa poleca zastanowić się. nad sposobami ich podniesienia. Tytuł III, opodatkowanie i opłaty gminne wynoszą w wydatkach 280 zr., w dochodach 752.101 złr. nadwyżka pokrycia 751,821 złr. Podatek od psów, dotychczas w kwocie 4 złr. rocznie pobierany, urasta do rocznej kwoty 5 złr. Tytuł IV, zarząd długu miejskiego przedstawia w wydatkach 193,015 złr., w dochodach 9,200 złr., niedobór 183,815 złr. Tytuł V, bezpieczeństwo publiczne; wydatki jego czynią 135,195 złr.. dochody 1,620 złr., niedobór 133,575 złr. Tytuł VI; budowy i roboty publiczne; wydatki 96,107 złr., dochody 3,012, niedobór 93,095 złr. Dział VII; upiększenie miasta; wydatki 23,941 złr.. dochody 1,556 złr., niedobór 22,385 złr. Tytuł VIII; zarząd targowy i zaopatrzenie miasta w żywność; wydatki 2,032 złr., dochody 14,568 złr.. nadwyżka 12,536 złr. Tytuł IX; zdrowotność miasta: wydatki 109,005 złr., dochody 48,930 złr., niedobór 60,075 złr. Tytuł X; dobroczynność; wydatki, 31,570 złr., dochody 8,572 złr., niedobór 22,928 złr.

Tytuł XI: sztuka i zabytki historyczne; wydatki 25,117 zł., dochody 12,800 złr. niedobór 12,317 str. Tytuł XII; oświata; wydatki 216,375 złr., dochody 13.404 złr. niedobór 202,971 złr. Tytuł XII; sprawy wojskowe; wydatki 38,065 złr., dochody 26,310 złr., niedobór 11,755 złr. Tytuł XIV; różne sprawy wydatki: 7,897 złr., dochody 500 zł., niedobór 7,397 złr. Z reszty kasowej, pozostałej z r. 1894, przeznaczono stałą dotacyę do kasy miejskiej w kwocie 100,000 złr. na zasilenie funduszu obrotowego.

Niektóre ulice zyskają lepsze oświetlenie, koryto Rudawy ma być uregulowane, stosownie do opracowywanego planu, miasto postanawia zakupić w pobliżu posesyę leśną, w której mieszkańcy czerpaliby świeże powietrze, zwłaszcza tacy, którzy na lato wyjeżdżać nie mogą. Natomiast nie udzieliła Rada miejska zasiłku na naukę zręczności. albowiem w myśl ustaw, gmina nie jest obowiązana ponosić wydatków na ten cel. Nie przychyliła się też do próby sekcyi szkolnej w sprawie wynagrodzenia pomocników i pomocnic do nauki śpiewu i kaligrafii w szkołach ludowych. Jestto najświeższy dowód wielkiej pieczołowitości, jaką Rada szkolna krajowa otacza nauczycielstwo ludowe, Działalność jej około polepszenia doli pracowników pedagogii zaczyna od tego, że odebrano im nędzny. ciężko zapracowany grosz. Tak zwani pomocnicy nauczycielscy pobierają po 8 złr. miesięcznie, za to udzielają śpiewu, rysunków, kaligrafii, około 12 godzin tygodniowo, nieraz i więcej. Od nowego roku nie pobierają nic. Rada szkolna krajowa nie wyznaczyła dla nich żadnego funduszu, zapewne ze względu na budżet obciążony. Chcąc krzywdę tę wynagrodzić, sekcya szkolna Rady miejskiej zażądała aby gmina na półrocze od 1 stycznia do sierpnia uchwaliła i wydała kwotę 1,466 złr. 67 c. na opłacenie pomocników śpiewu i kaligrafii z zastrzeżeniem, że uchwała nie przesądza tej kwestyi na przyszłość i że gmina nie ma obowiązku do ponoszenia wydatków na pokrycie powyższych pensyj; atoli pełna Rada do wniosku tego się nie przychyliła, pozostawiając pomocników nauczycielskich na łasce Rady szkolnej krajowej.

Ar.

LIBERUM VETO.

Nieśmiertelny temat. — Czy krytyk może być bezwzględnie sprawiedliwym? — Metoda przyrodnicza w sądzeniu utworów literackich. — Proces Gryfa z *Głosu* przeciw tolerancyi dla skromnych trawek. — Wymowny przykład nietolerancyi. — Kogo wziąć pod młotię? — Suggestya reklamy. — Pigułki chlebowe i liche utwory literackie. — Żyły spekulacyi.

Są sprawy, wobec których nawet każdy ochotnik, pragnący odbyć dobrowolnie służbę w szeregach literatury, uczuwa gwałtowną potrzebę przywdziania zbroi i natychmiastowego wystąpienia na pole walki. Do tych spraw należy u nas krytyka. Ilu jest autorów, tylu jej nieprzyjaciół, a ilu cichych i głośnych kandydatów do autorstwa, tylu reformatorów, gotowych kształcić, nawracać lub wreszcie spalić tę starą grzesznicę. Znaczna większość jednych i drugich prowadzi z sobą taką rozmowę:

— Świat jest niczły i posiada dosyć przestrzeni dla moich skrzydeł, a jego dzieci chętnie przyglądałyby się moim podniebnym lotom, gdyby nie łobuzy, krytycy, którzy ciągle wypuszczają zatrute strzały ku dumnym orłom.

Naturalnie, trzeba przedewszystkiem tych łobuzów zastąpić porządnymi i poważnymi ludźmi, a świat będzie jeszcze lepszy.

Niestety, jest to złudzenie. Nawet najpoważniejszy i najporządniejszy człowiek nie może być sprawiedliwym krytykiem. Bo albo ma jakieś szczególne upodobania, albo żywi jakieś osobiste sympatye i niechęci, albo należy do jakiejś rasy, narodu, stronnictwa i wszystko ocenia ze stanowiska ideałów i interesów swej gromady. Chmielowski ciągle przygania Konopnickiej, która dla mnie jest największym talentem poetyckim naszej doby; hr. Tarnowski omdlewa z zachwytu przed *Rodziną Połanieckich*, która dla K. Bartoszewicza jest utworem poślednim; Gryf może stawia wyżej tomik nowel Żeromskiego, niż wszystkie powieści p. Jeske-Choińskiego itd. Więc cóż pozostaje krytykowi, który pragnąłby zdobyć się na najwyższą bezstronność i niezależność od swoich osobistych gustów i względów, oszacować każdy utwór według jego istotnej wartości dla literatury? Pozostaje mu, mojem zdaniem, zająć stanowisko przyrodnika: zamiast ganić i chwalić — określać i tłomaczyć. W jednym z poprzednich numerów *Prawdy* wyraziłem to mniemanie przykładem: jeżeli najmizerniejsza trawka ma prawo do tego. ażeby uznano jej racyę bytu i objaśniono jej istotę, to tem bardziej posiadają takie prawo twory człowieka. Przeciw temu poglądowi oświadcza się W. J. Gryf w *Głosie*. „Dopóki trawka — mówi on — jest trawką — rośnie i rozwija się w granicach, zakreślonych jej przez naturę, w takim razie, czy ona jest taką, czy owaką, nikomu nic do tego... Jeżeli jednak też skromna trawka usiłuje wyjść z granic, zakreślonych jej przez naturę, jeżeli jest o sobie tego zdania, że może przedzierzgnąć się w roślinę cieplarnianą albo stać się olbrzymem lasów dziewiczych i jeżeli o tej możności zarozumiale przekonywa innych, w takim razie każdy ma prawo jej powiedzieć: moja trawko

siedź sobie cicho na swej grzędzie i nie wyobrażaj sobie, że jesteś czemś innem, wspanialszem i większem od pospolitej trawki. To samo da się powiedzieć o ludziach i ich tworach. Może każdy myśleć i czuć, co chce, i tworzyć, jak mu się podoba, byleby tylko swego istnienia nie uważał za coś lepszego, niż jest w istocie i byleby tego przekonania o sobie nie chciał innym narzucić.“ Ażeby uniknąć nieporozumienia, zejdźmy na chwilę z pola porównań. Zdarza się często, że jakiś młodzieniec, mający w swej duszy iskierkę talentu i ośmielony przez przyjaciół, wydaje tomik utworów — mdłych, bezbarwnych, bezrdzennych, ot poprostu stawia na stole literatury miseczkę chudej galarety, za co otrzymuje od krytyki potężną chłostę. Czy on rzeczywiście zasłużył na karę, która powinna dotykać tylko złe zamiary? Bynajmniej. Z jego umysłu wyrosła skromna trawka, która wprawdzie służy za pokarm tylko istotom niższego rzędu, ale której botanik nie potępia. Nie mam nic przeciw temu autorowi i jego płodom — powiada Gryf — dopóki on nie uważa siebie za mistrza i tego przekonania nie narzuca innym. Lecz skądże my wiemy, że on się uważa za coś nadzwyczajnego? Fakt wydawania w dalszym ciągu miernych prac jeszcze nas o tem nie objaśnia. Przypuśćmy jednak, że wiemy, iż jakaś trawka literacka poczytuje siebie za boababa literatury — do nas to obchodzi? Co obchodziłoby przyrodnika, gdyby wół ogłaszał się za słonia? Zdaje mi się, że jeśli krytyka określi naturę i że jak powiem—ustrój artystyczny każdego dzieła sztuki, tem samem oznaczy stopień jego wartości; podobnie jak botanik, opisawszy różę i trawkę, wykaże zarazem różnicę ich wartości naturalnej i użytkowej. Obrona tej metody w sądach krytycznych wydaje mi się konieczną nie tyle w interesie skromnych trawek, ile właśnie boababów — i to szczególnie u nas, gdzie system pochwał i nagan krytyki dochodzi nieraz do szczytów bezczelności. Z wielu dowodów przytoczę jeden. Kiedy Sienkiewicz wydrukował swoje słynne *Szkice węglem*, według mnie, rzecz najlepszą, jaką kiedykolwiek napisał, to same organy prasy, które dziś dla jego utworów nie mają innego miana, jak „arcydzieła“ i w hymnach nie cofają się przed komizmem wschodniej czołobitności, sponiewierały tę śliczną powieść, jak nędzną ramotę. Czemu? Bo Sienkiewicz chadzał wtedy w czerwonych szatach postępowości, a teraz stale ubiera się w białe szaty skrajnego konserwatyzmu, bo względy stronnicze nie pozwoliły wówczas i nie pozwalają dziś krytykom zdobyć się na sąd bezstronny. Gdyby zawsze oceniano tego autora bez tej przymieszki, przed 20 laty nie byłby on pisarzem „niesmacznym,“ a obecnie najsmaczniejszym ze wszystkich, jakich ziemia dotąd zrodziła. Nawet my, literaci, musimy być równi wobec prawa — krytyki. Jeżeli tedy wolno położyć na kolanie i wytrzepać jakiegoś bachora Parnasu za niedołężne wiersze, to wolno również wyłajać utalentowanego autora za utwór, niedogadzający czyjemuś gustowi. A doprawdy jednym z najbardziej gorszących i zarazem komicznych widoków jest widok jakiegoś zuchwałego karzełka, uwijającego się po literaturze ze szpicrutą w ręku i uderzającego nią w pięty pisarzów, którym głów pomimo wspinania się dojrzeć nie może. Tu już nie chodzi o skromne trawki.

„Z masy tych — mówi Gryff — co opowiadają dumnie o sobie: „my artyści,“ my „literaci,“ co nosa zadzierają wobec rzeszy „symplistów“ i myślą, że z innej gliny są ulepieni, niewieleby dałoby się wybrać dusz, nienapiętnowanych filisterstwem.“ O wielkim odłamie tegoczesnej poezyi powiada: „Wszelkie niedokończone fermentacye miękich jeszcze, niesformowanych mózgów, wszelkie powstrzymane w pół drogi procesy myślenia, nierozwinięte i przerwane myśli, uczucia, będące zaledwie w stanie zalążkowym, wzruszenia nikłe i przelotne, słowem, całe ubóstwo ducha, jego bezwiedność, niepewność i nieruchomość, zamiast pełni, świadomości i natężenia — znajdują w rymach tych ujście.“ Według Gryfa, u nas nadmiernie rozpanoszyła się t. zw. „literatura łatwa“— a wszystko to wymaga od krytyki surowości, oczyszczenia stajni Augiaszowej. Przedsięwzięciu takiemu mogę życzyć tylko powodzenia. Ale mniemam, że należałoby wziąć pod miotłę nie tylko i nie głównie autorów. Żadne karcenia, żadne rzezie krytyczne nie zamienią malców na olbrzymów, żadne gromy i szyderstwa nie zamienią społeczeństwa filisterskiego na głęboko myślące i czujące: skrzypy i jaskry pozostaną skrzypami i jaskrami, a jałowa, sapowata, kwaśna rola ciągle rodzić je będzie. Jestem przekonany, że gdybyśmy na każdem drzewie ogrodu Saskiego powiesili lichego wierszokletę lub z nieudolnych a zarozumiałych powieściopisarzów zrobili długą aleję „żywych pochodni Nerona, jedni i drudzy nie wyginą i dalej mnożyć się będą z wieńcami męczeńskimi na skroniach, bo ogół ich utwory chętnie czyta. Ale przeciw komu należałoby się zwrócić z całą siłą, to przeciw protektorom roboty łatwej, przeciw uwodzicielom społeczeństwa, przeciw handlarzom literatury. Wkroczył dziś bowiem do niej i wszechwładnie zapanował wysoce szkodliwy zwyczaj suggestyi reklamowej. Gdy handlarz bierze do ręki rzecz cenną — utwór Konopnickiej lub Orzeszkowej, Sienkiewicza lub Prusa—gdy z nią przebiega ulice miast i wsi, krzycząc, zachwalając, wynosząc pod niebiosa, przebaczamy mu przesadę, wrzawę, kłamstwo, bo przynajmniej usiłuje wcisnąć każdemu do rąk towar dobry. Ale gdy on to samo lub prawie to samo czyni z marną tandetą, musimy go powstrzymać w spekulacyi, bo on nią ogłupia ogół, obniża miarę jego sądu i wymagań. Wiadomo, jakich nadużyć dopuszcza się dziś reklama na wszystkich polach wyzysku łatwowierności. Handlarz już nie troszczy się o wybór jakiegoś niezwykłego produktu, lecz przygotowywa poprostu zapas gałek z chleba lub kawałków płótna, nasmarowanych mieszaniną oleju z trocinami i zapomocą nieustannych ogłoszeń we wszystkich pismach wmawia w publiczność, że te pigułki i plastry wyleczą ją ze wszystkich chorób. Z początku ona nie dowierza, ale powoli zaczyna próbować. Jeżeli tylko na stu czytających reklamy jeden kupi zachwalane lekarstwo i jeżeli na tysiąc złapanych jednemu przypadkiem, z innych a niedostrzeżonych przyczyn, poprawi się zdrowie, handlarz ma zapewnione zyski i rozgłos dla swego środka. Wyczerpawszy jedną taką żyłę, wytwarza sobie drugą, trzecią, dziesiątą — i tym sposobem z cynicznym uśmiechem stwierdza starą zasadę: „świat chce być oszukiwanym — więc go oszukują.“ Otóż ta sama metoda służy spekulacyi wydawniczej. Gdy jej zbraknie Sienkiewiczów, Prusów, Orzeszkowych i Konopnickich, łapie ona pierwszego lepszego autora, na którego padł bodaj słabiuchny promyczek łaski czytelników, mianuje go wielkim talentem, szrubuje w górę przesadnemi pochwałami, odgrywa wobec niego całą komedyę bałwochwalczych hołdów i uniesień, pada przed nim na kolana, całuje go w ręce i nogi — dopóty, dopóki nie spostrzeże, że ów cud przestaje ściągać ciekawych do budy jarmarcznej. Wtedy postępuje z nim tak, jak z pigułkami chlebowemi — wyrzuca je na śmiecie. Ileż takich baranków literackich, którym ozłocono rogi, osrebrzono kopyta i pomalowano szerść, nie mogło „po wyjściu z mody“ doprosić się od swych wielbicieli garści plew! Iluż to „znakomitych autorów,“ którymi przez pewien czas „obracała“ spekulacya, zmarło w zupełnem zapomnieniu i nędzy! Czy oni winni byli swej niezasłużonej chwały i równie niezasłużonej poniewierki?

A zatem rozum i sumienie publiczne, wyrażone w prasie ukształconej i uczciwej, powinny raczej kłaść piętno na czoła spekulacyi, niż jej bohaterów i ofiar.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Dąbrowa. Na nadzwyczajny zjazd górniczy przybyło 36-ciu przedstawicieli miejscowych kopalń węgla. Celem zjazdu było rozpatrzenie § 6-go ustawy górniczej, który zaleca roboty systemem podsadkowym, tj. przepisuje, że miejsce wybranego węgla należy zapełniać szczelnie: kamieniami, piaskiem, gliną, drzewem, aby niedopuścić do oberwania się góry. Uczestnicy podali szereg następujących pytań: 1) Czy dla kopalń zagłębia dąbrowskiego nie byłby odpowiedniejszy system tak zwany rabunkowy, przy którym przestrzeń opróżnioną pozostawia się na łaskę losu, czy też należy ściśle stosować podsadkę; 2) który z obu lepiej odpowiada względom ekonomicznym; 3) jak przedstawia się kwestya bezpieczeństwa robotników przy tych metodach; 4) określenie wysokości i opadu pokładów węglowych przy zastosowywaniu jednego lub drugiego systemu. Zebrani oświadczyli, że dla niektórych kopalń system podsadkowy jest stanowczo nieodpowiedni, szczególnie tam, gdzie nie ma materyału podsadkowego zupełnie. Trzeba go sprowadzać i ponosić koszt duży. System rabunkowy daje ½ kop. różnicy na pudzie, przy obliczaniu kosztów wydobycia węgla. Jeżeli każda kopalnia wydaje dziennie średnio 50,000 pudów węgla, to przy systemie rabunkowym zyskuje 259 korcy dziennie, czyli o 100,000 rs. rocznie więcej, aniżeli prowadzona systemem podsadkowym. Ale przy pierwszym marnuje się znaczna ilość węgla, pokładu bowiem nie można wybrać doszczętnie, przytem system ten jest niebezpieczny dla robotników. Po długich obradach postanowiono starać się o zastąpienie § 6-go ustawy górniczej dwoma następującymi paragrafami: 1) Pokłady na poziomie lub z małym „upadem,“ grube na $3^3/_4$ sążnia, mają być eksploatowane, rabunkowo wszystkie zaś pokłady, mające więcej niż $3^3/_4$ sążnia grubości, systemem podsadkowym. 2) Pokłady z upadem większym nad 25°, niezależnie od grubości pokładu, winny być wyczerpywane systemem wyłącznie podsadkowym. Obradom przewodniczył naczelnik zachodniego okręgu górniczego, inżenier Choroszewski.

Płock. Budowniczy powiatu Mławskiego, p. Z. Kmita, złożył projekt wodociągów w Mławie. Woda czerpana będzie ze źródeł miejskich. Za sto wiader pobieranoby 30 kop. (o 10 mniej, niż w Płocku). Roboty mają być wykonane sposobem administracyjnym.

Pińsk. Przed kilkunastu laty „zapadłe“ miasteczko, typowy kąt poleski, otoczony rojem komarów i bagnisk, wysłuchujący chóru żabiego lub swarów chłopskich i żydowskich na rynkach, dziś zmieniło zupełnie swą postać. Od chwili wybudowania kolei Poleskich, pasowano go na „miasto,“ a nawet krążą pogłoski, że w przyszłości będzie siedliskiem władz gubernialnych, gdyż gubernia Mińska jest nazbyt rozległą. Pińsk głównie się rozwija pod względem przemysłowym. Ciągle przybywają nowe fabryki, a wielkie warsztaty kolejowe ściągnęły tłumy robotników. Liczą dziś ich ogółem 4,000. Warsztaty owe nietylko uskuteczniają naprawę, przeróbki, ale budują całkowite wagony na użytek kolei rządowych.

Petersburg. Sąd okręgowy rozstrzygnął sprawę spadku po Czarneckiej w sposób następujący: Ignacy Mossakowski obywatel z gub. Podolskiej, otrzymał kapitały i cały majątek ruchomy oraz dwie piąte części dóbr ziemskich w gub. Podolskiej: Pokutyna i Kalityna, przedstawiających majątek rodowy macierzysty; resztę, to jest trzy piąte tych posiadłości oraz majątek ziemski

w gub. Podolskiej, Nosikówka (rodowy ojczysty), odziedziczyli czterej bracia Korewiccy z Kamieńca Podolskiego, Domicela Jaroszyńska ze Starego Konstantynowa. Mossakowski dziedziczy jako syn przyrodniego brata zmarłej, Korewiccy i Jaroszyńska jako potomkowie dwóch sióstr ojca spadkodawczyni. Żądanie ministeryum dóbr państwa o uznanie spadku za bezdziedziczny odrzucono. Z nader licznych rościcieli część przeważna wcale pokrewieństwa nie wykazała, inni udowodnili je ale w stopniu dalszym. Jako pełnomocnik Ignacego Mossakowskiego, występował dr. Doboszyński, adwokat z Krakowa, jako obrońcy—Glinojecki i Olszamowski, adwokaci przysięgli w Petersburgu.

SPRAWY EKONOMICZNE.

STOSUNKI ZE WSCHODEM.

Od czasu gdy kule zamieniły się na buszle żyta i pszenicy, a kartaczownice i armaty na fabryki, miotające wielkie ładunki swych wytworów, gdy zamiast armii wystąpiły cła protekcyjne, najpotężniejszemi zaś warowniami stały się rynki pierwszorzędne, wojna ekonomiczna przybrała wielkie rozmiary. Straty zaś materyalne, wynikające z rozpaczliwych i forsownych środków współzawodnictwa, dały się uczuć również dotkliwie, jak i po walkach krwawych. Zwrócono więc pożądliwy wzrok tam, gdzie ponosząc jak najmniejsze ofiary, można jeszcze znaczne zyski wyssać. Państwa zachodnio-europejskie wysłały oddawna przednie straże na daleki Wschód i zajęły korzystne placówki. Dziś już i tam toczy się cicha walka ekonomiczna, lecz podjazdowa, dorywcza. Rynki nie są jeszcze mocno ufortyfikowane przez tych, którzy pierwej tam weszli, każdy ma bramy otwarte; należy tylko odnaleźć najprostsze i najłatwiejsze drogi, prowadzące do nich.

Przed kilku laty i u nas nawoływano do wyprawy na Wschód, ale nie było środków i zdolności, któreby pozwoliły zorganizować się odpowiednio. Nasze towary dochodzą tam i są nawet poszukiwane, ale odbywają właściwie wędrówkę przypadkową. Dzisiaj, gdy wielka kolej Syberyjska coraz bardziej się wydłuża i łączy sieć ogólną tymczasową za pośrednictwem rzek spławnych, rynki azyatyckie zaczynają znowu budzić uwagę powszechną i podniecają nawet do organizacyi podbojowej na drodze ekonomicznej.

Podobno fabrykanci warszawscy i łódzcy złożyli w ministeryum skarbu podanie o koncesyę na biuro komisowe akcyjne dla zawiązania stosunków trwałych i bezpośrednich z Azyą środkową, celem zbytu wyrobów. Jednocześnie są inne przygotowania, które właściwie należałoby traktować jako cząstkę działalności przyszłego biura. Oto zarząd wystawy stałej prób i wzorów w Warszawie postanowił stworzyć Muzeum towarów wschodnich w naszem mieście. Myśl ta wyrosła z następującego umotywowania: Cukier i wódka, machiny i rury lane, szkło, fajans i porcelana, buty, krawaty i rękawiczki, sukna, perkale i płótna u nas wyrabiane, niedawno jeszcze nie przekraczały granic kilku najbliższych guberni; dziś idą one za Don, za Kaukaz i Ural, za morze Kaspijskie, do Chin, Persyi i Azyi Mniejszej. Aby jednak w tym kierunku jak najdalej podążać — mówi odezwa — nie można narzucać tym, dla ktorych towar jest przeznaczony, swoich gustów i upodobań, lecz trzeba stosować się do ich własnych wymagań; trzeba wyrabiać to, co ma zbyt na owych rynkach, a gusty te i upodobania są nieraz od naszych niesłychanie dalekie. I gatunek materyału, i kształt, i deseń, i barwy ulubione są tam inne, niż u nas; pewno, nieznane szczegóły życia domowego, wymagają pewnych szczegółów wykonania, innych, niż u nas, a nam najczęściej nawet nieznanych. To, co wyrabialiśmy dotąd, było przeważnie przeznaczone dla warstwy ucywilizowanej, napływowej w tych krajach. Masy zaś stały po za obrębem celów naszego przemysłu. Jeżeli jednak ten przemysł chcemy oprzeć na pewnych fundamentach, a nawet go rozszerzyć, musimy wytwarzać towary, któreby przypadałyby do gustów i upodobań mas, musimy zapoznać się z tem, czego te masy potrzebują, wytwarzać to, co one chętnie nabywają. Powinniśmy zatem posiadać próby towarów, mających tam szeroki zbyt i do nich stosować swój przemysł. Potrzeba więc przedewszystkiem zgromadzić takie wzory, zbierano na miejscu, z wykazem cen na tamtejszych rynkach przy sprzedaży hurtowej i cząstkowej. Zarząd Muzeum odwołuje się do osób, mieszkających na dalekim Wschodzie, z prośbą o pomoc w tej mierze. Czy jednak na to liczyć można zupełnie? Zapewne, przy dobrej chęci nadeślą one trochę okazów, ale to nie będzie ten całokształt potrzeb, o jakim dałaby pojęcie trwała organizacya handlowa, zaglądająca do wszelkich zakątków nieznanych. Tymczasem trzeba oczekiwać uczynności tych, do których powyższa odezwa dostanie się przypadkowo. Ponieważ i *Prawda* może być bezwiedną pośredniczką, więc zamieszczamy adres Wystawy stałej prób i wzorów: Krakowskie przedmieście, 66.

Te skromne u nas zabiegi i przygotowania do wejścia na rynki dalekie, kto wie, czy się nie zmienią pod działaniem wielkiej organizacyi finansowej, której wpływ z ogniska azyatyckiego zapewne dosięgnie i zachodnich europejskich krańców państwa. Będzie to mianowicie Bank rosyjsko-chiński. Obecnie w różnych portach mocarstwa azyatyckiego sferę kredytu i wszelkich tranzakcyj pieniężnych zajęły niepodzielnie banki: niemiecki, francuski i kilka angielskich (Deutsch-Asiatischer Bank, Comptoir Nationale d'Escomte de Paris, Hong-Kong and Shanghai Banking Corporation, Chartered Bank of India, Australia and China, Chartered Mercantil Bank of India, London and China, Bank of China, Japan and the Straits). Przy stosunkach handlowo-przemysłowych Rosyi z Chinami pierwsza musiała dotąd korzystać z powyższych instytucyj, podlegać ich wpływowi, a więc oddawać w ręce cudzoziemców znaczne sumy. Zwrócili na to uwagę interesowani i dzięki ich zabiegom projekt nowej, samodzielnej instytucyi był już roztrząsany w ministeryum skarbu r. 1894. Obecnie bodźcem do przyspieszenia sprawy jest szybka budowa kolei, która pod względem stosunków handlowych zbliży dwa państwa. W roku bieżącym ma być skończona linia zabajkalska, r. 1898 droga dojdzie do Sretenska w wodozbiorze Amuru, następnie będzie nieprzerwana komunikacya z Władywostokiem. Na takiem podścielisku ułatwień komunikacyjnych i na zaraniu szerokich stosunków ekonomicznych powstanie instytucya finansowa. Na pierwszym planie oczywiście stoi herbata. Obok wszakże tej gałęzi handlu, ma przyszłość przed sobą wywóz wielu produktów. Rosya dziś czerpie herbatę z Chan-Kou, Tsiu-Tsianu i Fu-Czou. Pierwsze i najgłówniejsze z tych ognisk oddaje sąsiadce 46% całego wywozu. Ale wypłaty pieniężne kupcy rosyjscy uskuteczniają za pomocą przekazów na Londyn, które są realizowane w Szangaju, gdzie w sezonie herbacianym powstają agentury czasowe banków europejskich, istniejących w Chinach. Przy kupnie trat rosyjskich częstokroć czynią one wstręty i w braku współzawodnictwa pobierają wysokie odsetki. O rozmiarach obrotów pieniężnych, dokonywanych przez firmy kupieckie z Rosyi, dają pojęcie cyfry z r. 1893: przesłano do Chin pocztą i telegrafem 1,541,000 f. st. tudzież 132,000 rubli w srebrze. Otóż Bank rosyjsko-chiński wszystkie te operacye z czasem zagarnie. Przytem obecnie herbata, wymagająca wielkich kapitałów obrotowych, pozostaje w rękach nielicznych możnych firm. Z otwarciem zaś kredytu dla kupców pomniejszych, handel za pomocą stosunków bezpośrednich rozszerzy się z korzyścią dla ogółu spożywców. Nafta rosyjska, która od lat dziesięciu idzie do Chin, skutecznie już tam dzisiaj współzawodniczy z amerykańską i stanowi 25% ogólnego dowozu. Herbata zatem i nafta są to główne produkty, które dadzą energię finansową przyszłemu bankowi. Nadto dla skutecznej walki konkurencyjnej z instytucyami zagranicznemi i utrwalenia wpływu ekonomicznego Rosyi w Chinach, trzeba ażeby bank ten wciągnął do swych operacyj finanse władz tamtejszych.

Zachodzi teraz kwestya, gdzie urządzić to ognisko kredytowe. Największe znaczenie dla handlu rosyjskiego mają trzy punkty: Chan-kou, Szangai i Tian-tsin. Pierwszy jest głównem miejscem wywozowem, skupił bowiem w sobie handel chiński i stał się olbrzymim składem towarów zagranicznych, przeznaczonych na wywóz do prowincyj środkowych: Chunan, Szen-si i Gui-czżou tudzież zachodniej: Su-czuan. Tym sposobem obsługuje przestrzeń, zajętą przez 90 milionów mieszkańców. Dzięki traktatowi w Simonoseki, uprzystępnienie portów Czun-tsin i Szasi, jeszcze bardziej zbliża Chan-kou do Chin zachodnich i podnosi jego znaczenie, jako głównego składu. Szangai jest pierwszorzędnym portem tudzież ogniskiem finansowej i handlowej działalności cudzoziemców. Handel rosyjski zczepił się tam dość słabo. Z chwilą wszakże skończenia kolei Syberyjskiej stosunki z tym punktem za pośrednictwem Władywostoka znacznie się ożywią. Ze względu na to, a może i dla wypowiedzenia walki handlowi i finansom innych państw, postanowiono otworzyć Bank rosyjsko-chiński w Szangaju. Następnie, w miarę potrzeby, powstaną filie w innych punktach.

Grupa bankierów, która brała udział w emisyi ostatniej pożyczki chińskiej, wyraziła całą gotowość założenia tej instytucyi i już wysłała na miejsce kilku agentów, dla dokładnego rozejrzenia się w warunkach. Projekt ustawy, wniesiony przez ministra skarbu do komitetu kolei Syberyjskiej, uzyskał zatwierdzenie w grudniu r. z. Obok zwykłej działalności finansowej, bank ten obejmuje jeszcze operacye, wchodzące w zakres towarzystw komisowych i asekuracyjnych. Będzie więc miał prawo kupować towary na własny rachunek i zlecenie osób prywatnych, brać dostawę morską, rzeczną i lądową, ubezpieczać ładunki od ognia i innych wypadków; wreszcie kupować i sprzedawać nieruchomości na rachunek osób trzecich. Ta właśnie jego działalność, jako pośrednika, będzie niezmiernie ważną, gdyż wywrze wpływ na interesy handlu w obrębie Rosyi europejskiej. Tym sposobem projektowane przez fabrykantów łódzkich i warszawskich akcyjne biuro komisowe łatwiej przyjdzie do skutku i rozwinie się przy pomocy Banku rosyjsko-chińskiego, o ile interesowani wyjednają sobie zawczasu niezbędne ulgi. Tą drogą prędzej można poznać gusty i potrzeby dalekich spożywców, wzbogacić Muzeum towarów wschodnich w Warszawie. Ale nawet przy najpomyślniejszem zawiązaniu tych nici, należy pozostawać w ciągłej czujności. Taka instytucya finansowa w Szangaju stworzy wielki przewrót w stosunkach handlowych, podniesie ogromnie wywóz

różnych przedmiotów. Ale jednocześnie na terytoryach państwa Niebieskiego zawrze silniejsza walka współzawodników wszechświatowych.

Wzory raz mozolnie zdobyte dla Muzeum warszawskiego, nie mogą leżeć nieruchomie przez szereg lat, gdyż upodobania i potrzeby wielomilionowej ludności na dalekim Wschodzie szybko będą się zmieniać, ku czemu najbardziej się przyczyni samodzielny rozwój kultury wewnątrz mocarstwa azyatyckiego. Weszło ono w nową, bardzo pomyślną fazę cywilizacyjną po wojnie z Japonią. Przed laty, na mocy traktatu z Anglią, wybudowano linię kolejową, łączącą Szangai z Wusing (13 mil angiel.). Nie mogła ona jednak utrzymać się skutkiem oporu furmanów i właścicieli kanału. Po jednorocznem więc istnieniu zakupił ją rząd r. 1877 i kazał natychmiast zburzyć. Potem r. 1888 wybudowano z wielkim trudem nową linię (300 kilometrów), jednotorową. Łączy ona Tien-tsin z portem Taku, a następnie idzie na północo-zachód przez Tongho do Lulai, Tong-szan i innych miejscowości. Jest to dzieło inżenierów europejskich, którzy wprowadzili także swoich maszynistów. Dziś jednak, po świetnem wyspecyalizowaniu się Chińczyków w tym zawodzie, tamci ustąpili zupełnie. Również dyrekcya składa się wyłącznie z przedstawicieli narodowości miejscowej. Obecnie, po traktacie w Simonoseki Chińczycy zrozumieli całą doniosłość techniki komunikacyjnej i gorączkowo dążą do jej rozszerzenia. Zaprojektowano budowę dwu linij; obie mają połączyć Pekin z doliną Yan-tse-Kiangu. Jedna skieruje się od stolicy na południe ku Czin-Kiang w pobliżu Szangai; druga także z Pekinu przez prowincyę Honan ku Wu-czang (Hankau), dalej zaś przetnie znaczną część Chin środkowych. Ster robót objął Chińczyk rodowity, Yung-Wing, który w Ameryce zdobył wiedzę uniwersytecką i przez długie lata był posłem swego rządu w Stanach Zjednoczonych. Wielcy przemysłowcy niemieccy starają się o zapewnienie sobie dostawy szyn i wagonów.

Gorączka kulturalna niewątpliwie będzie wzrastać coraz bardziej, młodzież pospieszy tłumnie po naukę do europejskich ognisk wiedzy. Po latach kilku lub kilkunastu już stosunki ekonomiczne innych państw z Chinami zmienią się zasadniczo. Ale nietylko to jedno mocarstwo wywoła ową przemianę, która się odbije na produkcyi europejskiej. Cała Azya dziś liczy 39,000 kilometrów kolei żelaznych, w tem 30,000 przypada na Indye, a 3,000 na Japonię. Panuje więc w technice przewozowej Anglia. Z drugiej strony wydłużają się i rozgałęziają koleje zakaukazkie i zakaspijskie, wreszcie kapitaliści rosyjscy mają koncesye na budowę dróg żelaznych w Persyi, gdzie Anglicy na rynkach walczą o lepsze z wytworami Rosyi europejskiej.

Ten Wschód jest również przedmiotem uwagi naszych przemysłowców i bystrzejszych rzemieślników; organizacya zaś Muzeum musi unaoczniać także potrzeby mieszkańców Persyi, Buchary, Chiwy i Turkestanu, wreszcie rynków syberyjskich. Interesowani zaś powinni zawsze mieć na względzie postęp kulturalny i walkę konkurencyjną, która z każdym rokiem coraz bardziej będzie wzrastać. Trzeba więc, obok podpatrywania potrzeb i upodobań dalekich spożywców, śledzić jednocześnie jakość i stopień powodzenia wytworów, pochodzących z innych państw. Jak widzimy, zadanie jest bardzo szerokie i trudne; bez odpowiedniej, świadomej organizacyi nie da się ono przeprowadzić pomyślnie.

Do pochwycenia nici tych stosunków ze Wschodem nadarza się obecnie sposobność: wystawa powszechna w Niższym Nowogrodzie. Podobno nasi przemysłowcy i rękodzielnicy zapowiadają dość liczny udział, ale zabierają się do rzeczy niezdarnie i opieszale; niektórzy nawet dowiedzieli się o wystawie dopiero niedawno. Podczas gdy inni, rozumiejący jej doniosłość, już w r. 1894 pozamawiali sobie miejsca, my, po długim namyśle, zaczęliśmy się decydować powoli, pojedynczo i — stanęliśmy w ostatnich szeregach. Rezultatem zaś tego jest bardzo przykry zawód. Eksponentów wystawy zawiadomiono, że mogą oni otrzymać mniej miejsca, niż żądali. Nowina ta nadeszła prawie w rok po złożeniu deklaracyi i na parę miesięcy przed otwarciem wystawy, gdy już wielu przygotowało się odpowiednio do swojej rachuby. Niechże pokrzywdzeni przynajmniej teraz energicznie wystąpią z obroną swych interesów, dopóki terytoryum wystawy nie jest jeszcze zamknięte w ścisłych granicach.

Zen. Piet.

— Część zakładów starachowickich zniszczył pożar. Skutkiem tego piece wielkie przez pewien czas będą nieczynne. Ze względu wszakże na znaczne zapasy surowca, inne oddziały (pudlingarnia i walcownia) nie wstrzymają swej działalności.

O PRAWDĘ.

Odbieramy z Petersburga list, wymierzony przeciwko pochwalnym wzmiankom w *Prawdzie* o wydanym tam kalendarzu katol. Towarzystwa dobroczynności. Autor gani szczególnie niedbalstwo w opracowaniu językowem, przytaczając następujące dowody:

„W przedmowie wydawcy kalendarza oświadczają, że starali się „*ubrać*“ wiadomości; w poradniku medycznym zaleca się używanie jaj w „*różnych widokach*,“ „*pieczenie z piekarni*,“ „*dozwala się pikantne sosy*,“ „*frukty*“ itd. W nowelce „Cudze szczęście“ czytamy, że „*stało się wielkie cudo*“(!). Z nekrologii D. Zenowicza dowiadujemy się, że w zmarłym do ostatka błyszczały *składy* (!) wielkiej piękności.

Najhumorystyczniej zredagowany został dział ogłoszeń: jakiś fryzyer przyjmuje obstalunki „na peruki i teatra amatorskie“!! Ktoś inny ogłasza że „przyjmuje zakazy,“ jakaś „kiełbaśnia“ mieści się „*u* Krasnego mostu.“

Takich „kwiatków“ języka polskiego mógłbym wyszczególnić parę setek, bo niepodobna mi wymieniać tu jeszcze mnóstwa błędów nie tylko stylowych, lecz nawet i ortograficznych.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Nowy cech szlifierzy-polerowników w Warszawie, liczy obecnie 13 majstrów, 130 czeladników i 13 uczniów.

— Ogólny spis ludności będzie dokonany w styczniu r. 1807. (*Birż. Wied.*).

— Hafciarki warszawskie postanowiły stworzyć cech własny. (*Kuryer. warsz.*).

— W Krakowie dr. Odo Bujwid rozpoczął wykłady popularne bezpłatne z zakresu hygieny. Na pierwszą prelekcyę przybyło przeszło 600 osób.

Szkoły. Ogłoszono ustawę i etat szkoły konduktorskiej przy głównym zarządzie inżeuleryi.

— *Kuryer warszawski* pisze, iż oświeceni mieszkańcy niektórych gmin w powiatach: Warszawskim i Nowomińskim chcieli skorzystać z uchwały władzy: otwarcia w kilku miejscowościach szkół wiejskich. Nie mogą one jednak powstać, gdyż większość odmówiła funduszów.

Sądy. Sprawa rezerwistów pułku dragonów, oskarżonych o zamordowanie przemysłowca Walnera, była rozpatrywana w 2-gim kryminalnym departamencie Izby warszawskiej przy drzwiach zamkniętych. Wyrok pierwszej instancyi utrzymał się w całej mocy, tj. Łukaszenkę i Puzina skazano na pozbawienie wszystkich praw stanu i ciężkie roboty: pierwszego na 10, [illegible] w Syberyi.

Koleje i komunikacye. Wyjaśniono, że od pasażerów, nieposiadających biletów, należy pobierać podwójną opłatę, ale bez podatku skarbowego.

— Główny zarząd poczt i telegrafów w *Prawit. Wiest.* ogłasza: 1) że w przesyłkach, idących z Rosyi do Rumunii oraz *transito* do Bułgaryi, zabroniono pomieszczać ubrania używanego, bielizny i pościeli; 2) że na zasadzie zawiadomienia międzynarodowego biura pocztowego w Bernie, zabroniono przesyłać do Belgii (w listach i pod opaską) wszelkich druków, prócz książek, czasopism, map, nut, sztychów i oleografij artystycznych; 3) że wskutek przyłączenia do wszechświatowego związku pocztowego terytoryów Afryki wschodniej, pozostających pod protektoratem Anglii, z Zanzibaru wszelka korespondencya z temi miejscowościami podlega ogólnym przepisom pocztowym.

— Liczba abonentów telefonu w Wiedniu doszła do 10,000. Dla miasta będzie otworzona specyalna stacya centralna, dotychczasowa zaś ma służyć wyłącznie dla komunikacyi między Wiedniem, Pragą, Pesztem, Tryestem, a od d. 1 lutego przybywa połączenie Wiedeń—Kraków z pośredniemi stacyami: Berno, Ołomuniec, Jaegerndorf, Opawa, Ostrawa Morawska. Zamówień jest tyle, że nowy abonent otrzymuje aparat i połączenie dopiero po roku od chwili zażądania, gdyż nie można robocie podołać.

Wystawy i zjazdy. W Londynie będzie otwarta wystawa rosyjska po zamknięciu niższo-nowogrodzkiej.

— D. 22 lutego otwarta będzie w Warszawie ósma wystawa nasion, roślin gospodarskich i wytworów gospodarstwa domowego.

— P. J. Boguska na konkursie przyszłej wystawy hygienicznej w Warszawie otrzymała dwie nagrody (rs. 150) za dwa projekty: ozdobnego afisza i dyplomu.

— Ministeryum rolnictwa przeznaczyło 10,000 rs zapomogi na otwarcie w Kijowie r. 1897 wystawy rolniczej.

— W Moskwie odbędzie się zjazd przedstawicieli kas pożyczkowych.

— W czasie zapowiedzianej na r. b. wielkiej wystawy przemysłowej w Berlinie, odbędzie się szereg kongresów niemieckich i międzynarodowych, między innymi: lekarzy, przyrodników, elektrotechników i budowniczych.

— Z powodu zbliżającego się zjazdu syfilidologów w Petersburgu, przy warszawskim urzędzie lekarskim utworzono osobną komisyę z lekarzy specyalistów i niektórych członków władzy policyjnej, do zbadania środków walki z chorobami zakaźnemi w Warszawie. Urząd lekarski wzywa wszystkich rzeczoznawców, aby wnioski swoje w rodzaju artykułów naukowych, rozpraw, uwag itp. nadsyłali do komisyi.

Konkurs. Akademia wojskowo-lekarska ogłosiła konkurs na premium chirurgiczne im. dr. Busza. Mogą brać udział wszyscy lekarze, poddani rosyjscy. Prace powinny być oryginalne (z jakiegokolwiek działu chirurgii), napisane w języku rosyjskim.

Dobroczynność. W Warszawie przy ul. Dzielnej otwarto kuchnię bezpłatną dla ubogich.

Wypadki. Z Paryża donoszą, iż na kolei obwodowej między stacyami Porte-Maillot i Courcelles spotkały się dwa pociągi osobowe skutkiem złego nastawienia sygnałów. Dwie osoby zabite, osiem ranionych.

— Z Londynu donoszą, iż w kopalni Tylots Town pod Cardiffem zdarzył się wybuch gazów. 160 górników zginęło.

Zmarli. Karol Kaczkowski, w Warszawie, doktór medycyny. Od r. 1879 poświęcił się rolnictwu. Był stałym współpracownikiem *Encyklopedyi rolniczej*.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu J. B. w Radomiu. Dodatek zajęty na długo innemi pracami.

Panu W. K. w Radomiu. Jeżeli pytający żąda odpowiedzi, wymagającej poszukiwań, a więc pracy i czasu, to powinien nas przynajmniej wynagrodzić cierpliwością. Rzeczywiście zwłokom A. Lecouvreur odmówiono grobu na cmentarzu, a ciało Moliera dopuszczono tylko wskutek wielkich starań, gdyż „komedyanci" byli wyklęci i — jak się wyraża historyk — „par leur profession sont en état de péché mortel."

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 19 Января 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8